





W A C Ł A W
N O R S Z T Y N

CZYLI
EZA NIE GINIE DARMO,
POWIEŚĆ NARODOWA
Z XVIII. WIEKU.

PRZEZ
KAROLA OSTAPOWICZA.

T O M I.

Souzywiltowiesowie

W I L N O

W D R U K A R N I A. D W O R C A.

1844.

z klas. Ludwika Miegosińskiego

A 5977

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. — Wilno 1841 roku 3 Junii.

Cenzor, *Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego Radzca Kollegialny i Kawaler*

JAN WASZKIEWICZ.



P219/53/50



1000174400

JASŃNIE WIELMOŻNEMU
H R A B I
JÓZEFOWI
TYSZKIEWICZOWI
B. MARSZAŁKOWI POWIATU
OSZMIĄŃSKIEGO.

Nieznany, znanemu światu z świetnych
czynów MEŻOWI, patrzącemu okiem ojca na
ćwiczącą się w naukach młodzież, pierwszą
tę moją pracę z rzetelnym szacunkiem i wy-
sokim poważaniem

Poświęcam.

WYDZIAŁ FIZYKI

W R O C Ą C

WYDZIAŁ FIZYKI

WYDZIAŁ FIZYKI

WYDZIAŁ FIZYKI

WYDZIAŁ FIZYKI

WYDZIAŁ FIZYKI
W R O C Ą C
WYDZIAŁ FIZYKI
W R O C Ą C
WYDZIAŁ FIZYKI
W R O C Ą C
WYDZIAŁ FIZYKI
W R O C Ą C

WYDZIAŁ FIZYKI

Słowotłowie

I.

Na początku ósmnastego wieku, rychło po Karłowickim z Portą Ottomańską traktacie, Kamieniec, wydarty ze szponów bisurmańskich, nanowo odrodzonóm zakwitać zdawał się życiem, i stroić się w szaty godowe. Hurmem cisnął się lud z Podola i z tych części Ukrainy, które współcześnie uwolnione zostały spod ciężkiego jarzma najezdników, powitać odradzającą się swą stolicę i winszować sobie znowu szczęśliwego pokoju, do którego wszystko zdawało się dążyć, przez zjednoczenie się niezgodnych przed tém umysłów, zaburzonych bezkrólewiami, elekeyami i detronizowaniem wybranych niejednogłośnie.

Jakąż radością były napełnione serca wszystkich Podolanów, gdy ujrzeli wśród siebie czci-
godnego Stefana Humieckiego, Stolnika Podol-
skiego. Ten mąż znany z zasług w kraju, bo
całe życie poświęcił dla dobra jego, przybył
niebawem z Karłowic w rodzinne swe miejsce
i z zachwyceniem został powitany: należał on
do tego traktatu oswobodzającego Podol i z naj-
gorliwszą usilnością działał z pełnomocnym Sta-
niławem Małachowskim Wojewodą Poznańskim,
obstawając przy korzystnych dla tej ziemi od Porty
warunkach; imię więc jego w tym kraju po-
wszechnie było czezone i zawsze wymawiane
z uwielbieniem. Nieraz rozlegały się mury Ka-
mieńca z barbarzyńskiej otrząsające się pleśni
wesołemi, a tak sprawiedliwie należącemi dlań
okrzykami ludu; nieraz tysięczne echa powta-
rzały, w sędziwym Miodoborze 1) imię Humie-
ckiego i skalistym korytem Smotrycza oddawane
Dniestrowi w dalekie rozsyłało się strony.

1) Miodobor las od strony wschodnio-południowej Ka-
mieńca ciągnący się ku Karpatom.

Jakże mu nie zamieszkać było w tej krainie; wśród serc dlań przyjaznych. Po świeżej utracie małżonki, bezdzietny; tu tylko mógł się spodziewać osłody i pociechy dla swego wieku.

Pan mnogich włości Podola, błogo liczył dnie swoje z lubiącym go ludem. Miał też przy sobie młodego Wacława Norsztyna, którego ojciec z dzieciennych lat jeszcze, był mu przyjacielem; towarzyszem szczęścia, niedoli, na wojnach i w pokoju; a którego w ostatniej na Tatarów stracił wyprawie. Przed śmiercią jeszcze swego przyjaciela, Stolnik, nie mając potomka na któreby z rozkoszą przelał to, co jemu należało od Podola i co Podolowi o deń, zostawić umyślił wszystko młodemu Norsztynowi, którego jak własnego kochał syna.

Wacław dościgał już sił młodzieńczych, i nań oko opiekuna z pociechą patrzyło. Lecz stary Polus trzymając się dawnych zasad w wychowaniu młodzieży, lubo naytkliwsze czuł dla młodego Norsztyna przywiązanie, jednak bacząc

na los jego w przyszłości, i obowiązki do jakich się sposobie powinien, oddalił go od siebie, i odesłał do Baru pod dozór Księży Bazylianów, w których naówczas ręką młodzieży całego Podola złożone było wychowanie. Nie uważał on na to jak inne polskie pany wysyłali swoich synów do cudzych krajów, albo też chowali ich pod dozorem awanturników, przybyszów ladajakich z Francyi, Włoch albo Niemiec, lubo sami tacy nauczyciele nie wiele posiadali wiadomości i światła.

Młody Norsztyn, w ośmnastym już roku życia swego, co było nie podług ówczesnego zwyczaju, ukończył Barską szkołę; a czas wakacyjny, i odbycie biegu szkolnych nauk, sprowadziły go do domu opiekuna. Wiele Stolnik uczuł pociechy, patrząc na tę młodą latorośl z której dużo dla swej ziemi obiecywał plonu, na ten czysty obraz młodości swego towarzysza; pamiątkę cnotliwej przyjaźni tego, którego nie rad był przeżyć. Nie zakładał on wszakże plonnych, spełnić się nie mogących nadziei;

sposób albowiem postępowania Wacława, nadzwyczajne pojęcie, żywy charakter, śmiałość, trafne we wszystkiém odpowiedzi, pewne niepożyczone zdanie; przepowiadały w tym chłopcu spełnienie tego wszystkiego, po co tylko człowiek sięgnąć może. Pomimo jednak czulego przywiązania jakie miał Stolnik dla młodego Norszyna, po staropolsku trzymał go zawsze w rygorze i chował zaszczipiając weń szacunek dla starszych i miłość dla współbraci; a dla tego uznał za lepsze oddać go pod oko i pieczę srogich cnót przestrzegaczów ojców Bazyliańców.

Atoli z Augustem II. nie powróciła spokojność kraju. Ziemia ta nieszczęśliwa była ciągle gnębiona najazdami Smigielskiego z Pomeranii, Grudzińskiego z Wołoch, pustoszona przez Tatarów; wszczęły się też i bunty kozackie Paleja na Ukrainie, co wszystko pomnażało nieszczęścia krajowe, a którym August II. zapobiedz nie mógł. Bo lubo król jak najlepiej życzył tak Polakom jako i Sasom, lecz trudno było połączyć umysły rozjątrzone różnością wiary i u-

przedzeniami narodu; przyszło więc nie raz, z tej przyczyny do rozlewu krwi, między swoimi, a wrogami patrząc na to i ze swojej strony nie omieszkali hojnie nią szafować.

Stolnik w przeciągu tych zaburzeń do żadnych interesów krajowych nie mieszał się; stronnikiem dawniej party usiłującej utrzymać Sobieskiego rodziną na tronie, a później Leszczyńskiego, nieprzyjaznym był panującemu Augustowi; nie jednak przeciw niemu nie działając, siedział spokojnie w zaciszu domowym; lecz wówczas kiedy, za staraniem Piotra wielkiego, dbałego o spokojność narodów zaczęły się konferencye do pokoju dążące między związkowymi i Saskimi Posłami, uproszony od panów Podola zebrał się do wyjazdu. Wtenczasto młody Norsztyn powrócił w progi domu opiekuna swego z patentem zaświadczającym zupełne ukończenie szkół Barskich.

Podkomorzy Wieluński Zygmunt Grabianka, dawny przyjaciel Stolnika, bawiąc pod tę porę

w Kamieńcu bardzo upodobał sobie młodego Norsztyna; wszelkimi więc namowy starał się, iżby ten był wysłany do kształcącego umysły młodzi Wileńskiego Uniwersytetu. Niedługo Stolnik, widząc nadzwyczajną zdolność i ochotę do nauk w młodzieńcu, a dbały o dobro jego wahał się względem rad i przełożeń Grabianki; jakoż, przed wyjazdem na konferencyą oznajmił mu swoją w tej mierze wolę.

Wacław rozkaz opiekuna przyjął z wielką radością; bo chociaż wyuczony był zawsze najmniejsze skinienie Stolnika ze ślepeń wykonywać posłuszeństwem; jednak ten wiele był pochopnym dla jego młodzieńczego wieku. Nieświadomy świata innego prócz tylko tych okolic które się rozciągały od Kamieńca do Baru, wiele marzył o krajach o których tylko z ust nauczycieli słyszeć się mu wydarzyło. Roił on sobie tysiące w swej głowie projektów, wyobrażał uroczym przejazd w tak daleką stronę malował sobie Litwę, Wilno i wszystko co tylko nie Podolskie kolorami jakich mu wiek

młodzieńczy mógł przysposobić, i z niecierpliwością liczył dni, godziny do naznaczonego czasu wyjazdu. Zdarzały się jednak chwile, kiedy żal mu było tej ziemi, na której życie odebrał, na której tyle lat młodości, bez trosk przepędził; wtenczas biegł do starego Macieja żołnierza weterana spełniającego obowiązki marszałka we dworze Stolnika; a ten mu prawil chwycone przez swe lata w niezmordowaną pamięć różne a różne wydarzenia tyczące się Podola. Nieraz go wyprowadziwszy na Meczet Turecki, co z dumą patrzy na miasto; lub na grzbiet Toltrów 2) z których głęboko sięgnąć można okiem po rozciągającej się płaszczyźnie; lub też aż na góry Czemerowieckie 3) czytał, jak z rejestru, i wskazywał mogiły w których kryją się wojen napastniczych ślady; wskazywał miejsca, gdzie młodzież szlachecka pod okiem dzielnych mężów, odpędzała liczne zagony barbarzyńców i ich krwią użyzniała zdradziecko

2) Tak gminem nazywana gałąź Karpatów.

3) Czemerowce wieś.

najeżdżaną ziemię. Młody Wacław biegł wten-
 czas na groby, w których za zdaniem Macieja
 kryły się szczątki sławnych, pamiętnych w hi-
 storyi ludzi; rwał z nich bujną trawę, nazy-
 wał tę laurem nieśmiertelnym, i często oro-
 szoną łzami prawdziwego szacunku tulił do
 swych piersi. Lecz wróciwszy do domu znowu
 o wszystkiém zapominał, patrzył tylko na
 Wilno, przerzynał myślą tę przestrzeń co go
 o deń oddzielała i zatapiał się w tysiącznych
 obrazach bogato rojonych.

Zbliżył się nakoniec czas pożądanego wy-
 jazdu. Młody Norsztyn całą noc poprzedzającą
 ten dzień nie zmrzywszy oka, poświęcił tak
 sprawiedliwie należnym wspomnieniom swój
 młodości. I gdy tylko lipcowe słońce oświeciło
 starożytne mury Kamieńca, już on był daleko
 ze starym Maciejem w polu ciągnącym się od
 zamku ku Chocimowi; i żegnał te wszystkie
 miejsca, które mu były lubémi; a Maciej nie-
 szczędził uwag i dojrzałych rad nabytych w szko-
 le doświadczenia, dla swego panicza, według

których zachować się był powinien; ten zaś zdawał się potulnie i z wdzięcznością je przyjmować.

Stolnik wyjeżdżając na konferencyą zostawił Wacława i opatrzenie we wszelkie potrzeby tyczące się wyprawy jego do Wilna wiernemu Maciejowi: zostawił także i list polecający go znajomemu sobie Staroście Jasielskiemu Adamowi Tarle i mieszkającemu w mieście do którego wysyłał swego wychowanka po naukę. Stary więc Maciej we wszystkiém jak należało poczciwemu słudze spełnił polecenie Stolnika. A gdy słońce wysoko już podniosło się z za gór Miodoboru. Wracajmy! rzekł, paniezu, dzisiajże przecie już od nas wyjeżdżasz; trzeba dla tego jak przystoi wybrać się w tę daleką podróż! trzeba, iżbyś przewdziawszy świąteczną odzież poszedł do kościoła, wysłuchał mszy świętej i prosił Boga o pomyślne powodzenie w drodze i w ciągłym prawie zawichrzeniu zostającym wielkim świecie; bo to nasze stare i zawsze prawdziwe polskie przysłowie: kto z Bogiem Bóg z nim.

Wróciwszy tedy do domu, Wacław ubrał się przystojniej; Maciej także obkleł się w świąteczną suknię, przepasał doświadczoną i dobrze znajomą Tatarom szablą i poszli do kościoła.

Maciej był to dawnych czasów człowiek, ukłął więc z poszanowaniem na środku, w domu bożym; a wygoloną czupryną uderzywszy z pokorą o posadzkę, mówił w głos po łacinie, zwyczajem owych czasów, pacierze; czego i młody Norsztyn za przykładem Macieja nie omieszkiał uczynić.

Po wysłuchaniu nabożnie mszy św. Wacław odwiedził kilku panów, przyjaciół swego opiekuna i wyjechał, przeprowadzony jeszcze przez Macieja, z rodzinnego kramienia. Lecz młodzieniec nie mógł tak łatwo opuścić tę bogatą w pamiątki okolice; pieszo więc z Maciejem doszedł aż do Tołtr Miodoboru. Ale, ileż to ón obiegił przestrzeni zbaczając z bitego gościńca, ileż to on mogił zwiedził; bo chociaż starość Macieja, gniotąca siły, niepozwalala

mu zdążyć za Wacławem, za to młodość tego ostatniego stawiała w możności robić te różne wycieczki, niepozwalając nawet wiernemu słudze długo na siebie oczekiwać; z czego Maciej był i kontent, patrząc na niezaginione w pamięci młodego Norsztyna tylokrotne jego opowiadania oraz widząc czułą do ziemi swęj rodzinnęj przychylność.

Gdy się zeszli, ledwie nad wieczorem przy Miodoborze; młody Wacław pokazał Maciejowi czaszkę ludzką jeszcze niespróchniałą, a którą znalazł w bruzdzie wyoraną pługiem rolnika. Maciej długo ją obzierał i poznał nakoniec że to nie była czaszka wroga Tatara. Weź ją z sobą paniezu! rzekł starzec, będzie ci czasem przypominała to o czém zapomnieć nigdy nie powinienes. Poczém z trudem na sędziwe Macieja lata, dostali się na grzbiet Tołtrów i młody Wacław długoby jeszcze rad był nie rozstawać się z tém ulubioném miéjscem, lecz wierny sługa uznał za potrzebną pożegnać już, acz z wielkim żalem, panieza, pomnąc na daleką do powrótu przestrzeń.

Młody Norsztyn zostawiony z dwóma tylko służalcami, z boleścią serca rozstawał się z poczciwym Maciejem i z ziemią której był wiele winien, w której tyle drogich, dla swój duszy zostawował przedmiotów. Lecz żywość charakteru i rozmaitość którą sobie wyobrażał w podróży, niedługo pozwalały smutkowi gościć w jego sercu; jakoż szczęśliwie bez żadnych wydarzeń ujrzał się nakoniec w stolicy Gedymina.

Przykro było cokolwiek młodemu Norsztynowi stawiać prawie wstępne do świata kroki wśród nieznanego sobie ludu. Mocno go uderzyła w oczy mnogość niewidzianych jeszcze nigdy przedmiotów, a które w téj stolicy na każdym napotykał miejscu. Zdziwił go także niepomalu, ruch i zgiełk żydowstwa swobodnie się wszędzie rozpościerającego i zamożnego w dostatki, a które najwięcej było na przeszkodzie do wzniesienia się jak należy w dobry byt chociaż przy hojności Augusta II. większych miast mieszkańców; wszelakoż i z tém prędko się oswoił.

Na drugi więc dzień po swym przyjeździe przewdział się w odzież, w której i królewicz nie wstydziłby się ukazać i poszedł do Adama Tarły, do którego miał list od Stolnika polecający go łaskawym Starosy względóm.

Wszedł Waclaw na pokoje Starosy i zastał go zabierającego się już do wyjścia; zbliżył się doń z uszanowaniem i oświadczył że jest Norsztynem.

— Norsztyn! wykrzyknął Starosta, podkreślając bogaty wąs; wszakżeć to w braterskiej przyjaźni żyło się z Janem Norsztynem.

— Właśnie jestem synem Jana; odpowiedział Waclaw, a któren ciągle przy Stolniku Humieckim bawił.

— Przy Stolniku Humieckim! podchwycił Starosta, o! tom się weale nie omylił; znam, znam dobrze ojca WPana. Siła to się razy w wyprawach na Tatarów z nim i Stolnikiem jedną łyżką jadalo kaszę; *atqui cognitum perspectumque habere animum alicujus.* I zapewne teraz z Podola przybywasz?

— Z Podola ; odpowiedział Wacław.

— O ! jakąż mi WPan robisz pociechę , *spe majus solatium capere ex aliqua re*. A poczciwemuż Stolnikowi jak Pan Bóg szczęści ?

— Zdrow był gdy wyjeżdżał na konferencyą ; z pisma tego , o wszystkiém dowie się Starosta ; dodał , wręczając mu list Stolnika.

Starosta czytał w milczeniu podane sobie pismo i często pokręcał wąsy. Mój kochanku ; rzekł skończywszy , z tego listu dowiaduję się że Stolnik jest WPana jakoby drugim ojcem.

— Jego dobremu sercu , odpowiedział westchnąwszy Norsztyn , wszystko winieniem.

— Przyjechałeś więc WPan po naukę do naszój Akademii ; mówił Starosta , wpatrując się w Wacława , bardzo sprawiedliwie ; powinniście , powinniście ukształcać umysły w młodych latach , iżbyście w późniejszym wieku mogli dać z siebie pomoc krajowi ; *literae prosunt tempore belli et inpace*. Ale prawdę powiem że jak dwie krople wody jesteście podobni z moim synem ; i gdyś wehodził to cię wzięłem nawet za niego. O ! mój Ryszardek także *magna alacritate*

ćwicz się w naukach i spodziewam się że kraj kiedyś będzie miał zeń pociechę. Jakóbie! rzekł do stącego u drzwi pokojowca, niech tu mój chłopiec przyjdzie. Musicieź się przecie poznać nawzajem. Ale powiedzże mi, zapytał po chwili, jakci też Stolnik? no! *probabile cum notabiliter mutatum esse*; jednak czy wesół po staremu? i teraz jeszcze zapewne szumno na obradach występuje?

— W przeciągu tego czasu, rzekł Wacław, od kiedy Stolnik stracił żonę, a po której stracie i zamieszkał w Kamieńcu do niczego się już nie mieszał; teraz właśnie, że wyjechał na konferencyą, to jedynie tylko zrobił to na usilne prośby szlachty i panów Podola.

— O! to znacznie się odmienił! bo powiem WPanu, jaki to w młodych latach był zuch, a burda wielki! Przy wieluż to pojedynkach jego świadkiem byłem! miał zaś wielką przyjemność, jeśli już z kim skrzese ognia w pałasze, *tollere alicujus aurem recordationis ergo*; od czego nigdy nie chciał odstąpić i zgoda z przeciwnikiem pod tym tylko jednym

stawiała warunkiem.— Chodź tu chłopcze! rzekł do wchodzącego młodzieńca; cóż? słęczysz nad łaciną? poznaj się z szlachcicem panem Norsztynem; i bądźcie w przyjaźni, w jakiej ja z jego ojcem zostawałem. Przyjechał z Podola po naukę do naszej akademii, jesteś tutaj już znajomszy; więc może będzie potrzebował od ciebie jakiej rady, powinienes więc mu tej *tuo cum gaudio* udzielić. Czegoż to, dodał zarzucając na barki wyloty, tak sobie przypatrujecie się? a cóż, nie mówiłem ci panie Norsztynie, żeście bardzo podobni z moim synem?

— Ale to rzeczywiście tatkę, odrzekł młody Tarło, zbliżywszy się i podając rękę Wacławowi; w panu Norsztynie widzę drugiego siebie.

— Wszakże obaj jesteście nie Niemcy *nihił miri*, odpowiedział starosta, a twarze Sarmatów mniej więcej są podobne sobie; oprócz tego przypominam, że z Janem Norsztynem byliśmy wiele podobni, on tylko cokolwiek był wyższym ode mnie. Dawneć to czasy! ale pamiętam,

jak dzisiaj, rzekł pokręcając węża, wtenczas
 kiedy to Turka *ut oportet* siekało się pod
 Wiedniem; pocziwie uśmieliśmy się, jakoż
 największa wtedy między mną, Stolnikiem i Nor-
 sztyнем zawiązała się przyjaźń. A to z tego;
 oni obaj służyli w chorągwi Husarzów króle-
 wicza Alexandra, pod przewodem Zygmunta
 Zbierzchowskiego, a ja służyłem pod chorągwią
 mego stryja Karola Tarły, której sam i dowo-
 dził. Tym dwóm chorągwióm Król Jegomość
 kazał najpierwszym *impetum dare* na oboz
 samego wielkiego Wezyra; poszła więc nasza
 szlachta *ut ablectatum se*, i dalej robić sie-
 kaninę; patrzę, aż z tyłu Norsztyna zajechał
 Turek i płałnął go z całej siły, lecz z pręd-
 kości ręka mu się zwicnęła i Norsztyn stracił
 tylko wierszek swej czapki z pasowego aksa-
 mitu. Nie uląkł się tego stary żołnierz; bo
 nagle za jedném cięciem roztrzaskał temu gło-
 wę a i drugiemu coś także dostało się, gdyż
 ledwo z lewą tylko umknął ręką; później zaś
 tylko kontuszem otarł pot z czoła; bo też
 strasznie było gorąco! jakoś zaraz po południu

to się odbywało; a do tego było też i pochodzić koło czego? zaś na to nie uważał *riden-tibus nobis*, że mu czupryna wyglądała zpod niemającej wierzchu czapki, bo i z taką do Wiednia wjechał. Dzielnyż bo to był żołnierz twój ojciec! Jakież masz WPan imie?

—Wacław; odpowiedział zapytany.

—Tak, tak, dzielny żołnierz był twój ojciec panie Wacławie. Wprawdzie, jak sły-szałem od stolnika, że młodego wieku ułomno-ści narażały go na wiele nagannych postępów; ale to były tylko [sobie *delicta juventutis*; lecz grunt duszy szlachetny ułagodził z czasem te przywary. Liczne przeciwności nauczyły go bydź dobrym i zahartowały enotę cierpli-wością. Wychowany i zrosły w obozach, na wojnach osiwił i zginął też pod Podhajcami, *ut militem decet*, kiedy to Tatarzy napadli na garstkę naszych, w sześćdziesiąt tysięcy; a już wtenezas tąż chorągwią przewodził, w któ-rój pierwój był towarzyszem; na swoje widzia-łem oczy, jak mężnie poległ, przeszyty dwoma, przez piersi, bisurmańskimi strzałami. Po-

wiedźże mi WPan, Kamieniec, czy też otrząsa się z pyłu Mahometańskiego?

— Mogę powiedzieć, odrzekł Wacław, że od czasu gdy raz pierwszy w nim znalazłem się do dzisiaj bardzo już się odmienił.

— Może byż z laty piękne *et communita urbs* rzekł Starosta.

— Od wielu słyszałem, odezwał się młody Tarło, że Kamieniec jest cudem natury?

— Nie, mój synu! mówił Starosta, nie Kamieniec lecz miejsce na którém się wznosi to miasto *re ipsa*, policzyć można do cudów natury; nawet urosło przysłowie na Podolu, kiedy to Turcy trzymali w oblężeniu, mawiali: Kamieniec jak wieniec, na około woda, a w środku bieda. Ale oprócz tego wszystkiego, jest on dużo droгим również dla nas jak i dla bisurmanów; hojnie albowiem obłany krwią ich i naszą. No synu, Dominkanie dawno już wzywali do kościoła; a może też i pan Norsztyn *det se nobis comitem*. A proszę bywać u nas często, my żyć lubimy po szlachecku. Poczém wstał zarzucił na ramiona zuowu opadłe

wyloty, musnął się po czuprynie, przykrył ją z zielonego aksamitu oszytą sobolami czapką, założył ręce za owisły bogaty złotolity pas i wyszli do kościoła.

Norsztyń był lubiony w domu Starosty i uważany niejako za należącego do jego rodziny; ścisła wzrosła przyjaźń pomiędzy nim a młodym Tarłą; razem słuchali wykładanej przez Jezuitów w Akademii teologię; bo naówczas wszystkie inne nauki były zarzucone i młodzież polska nie ćwiczyła się już w umiejętnościach gruntownych po akademiach jak niegdyś za Jana Sobieskiego; bo w Wilnie Jezuitci dawno wszystkie byli posiadli katedry.

Stolnik powróciwszy z konferencyi, słabiej na zdrowiu i upadać znacznie już na siłach począł; niezadługo nakoniec umarł i zostawił panem całego swego majątku Norsztyna. Młodzieniec odebrawszy wiadomość o stracie opiekuna, wielkim był przejęty żalem; lecz prędko znaleźli się tacy, którzy go pocieszali w tém

zmartwieniu. Zostawiony bez pieczy, a nieświadomy chytrej przyjaźni prędko otoczył się zepsutą młodzieżą której pochlebiali towarzystwo z takim jak on młodzieńcem, nadto, majątek zostawiony przez Stolnika był dzielnym bodźcem do zawarcia najściślejszych węzłów z ludźmi którzy czas swój z pociechą jedynie rozpuście poświęcali.

Jeszcze od czasu królowych polskich z domu francuzkiego, wielu panów miało związki pokrewieństwa lub powinowactwa z Francją; a dla tego, którzy albo jeżeli mieli co do czynienia w sprawach swych jakich, albo dla ciekawości lub zwyczaju mody panującej, jeździli do Paryża; dwor bowiem Paryzki był wzorem wspaniałości i dobrego tonu. Często też młodzież znaczniejszych rodzin odwiedzała go dla udoskonalenia się w ćwiczeniach dobrego wychowania; lubo zamiast doskonałości najwięcej tylko wady i przywary ludu stolicy południowej Europy przybierała; a zamiast poprawy dziwne tylko narowy do ojczyzny przywoziła.

Wkrótce po śmierci Stolnika Wacław opuścił Wilno i wyjechał także do Francyi, a po dwuletnim pobycie w Paryżu, z powodu jakiej niepochwальной awantury, musiał opuścić tę stolicę, przybrawszy wiele nowych złych przymiotów co zepsuli jego serce i powrócił do rodzinnego Podola. Nie mógł on tam znaleźć już dla siebie najmniejszej przyjemności, zasmakował bowiem w życiu i zwyczajach miast wielkich. Prędko więc opuścił te przedtem lubo mu miejsca i zamieszkał w Wilnie dla używania tam roskoszy wśród miękkości wypieszczonej i skażonej rozpustą obojej płci młodzieży; uroczone Litwinki były przede wszystkim najulubieńszym jego zajęcia się i namiętnej żądzy przedmiotem. Z mężczyzn ten tylko mógł się spodziewać jego życzliwości i przyjaźni, kto się odznaczał w pijatyce i łatwych niewiast towarzystwie; kto w sytości roskoszy niewieścich, mógł być dla rozgorzałej rozpustą duszy, nową a przeciwną naturze pastwą i zaspokojeniem. Stał się on podłym szafarzem majątku szlchetnego Stolnika, dla lubieżności, winnych enocie upominków.

Jakże się on wiele, w przeciągu dwóch lat po śmierci opiekuna swojego zmienił! W domu Starosty już nie bywał; zerwał przyjaźń z enotliwym młodym Tarłą; a za przykładem zepsutej młodzieży, zupełnie znikła w jego sercu i uczciwej duszy dawna enoty postać. Szlachetne przymioty w jego młodości które rokowały wiele dobrego zaćmione zostały rozwiozłością rozpustną i innymi przywarami, przez zbytek w rozkoszach, które go w głęboką nieszczęść przepaść pogrążyły.

II.

Na Niemieckiej ulicy, w domu, nad bramą którego wymalowany lew z antałem, kilka butelkami i szklankami; oznajmuje że w dolnym mieszkaniu, jest handel na marynatę, kaliszan i billard, już wszystko było ucichło; a w handlu oświeconym słabo dogorywającą świecą siedział za stolikiem Norsztyn: twarz jego niezwykle nasępią, a w czarnych oczach przebiegał się jawny niepokój duszy; wzrok jego bowiem, czasem błyskał takim ogniem iż zda się przyczyniał światła do pomалу, z głębi lichtarza pelgającego płomyka; milczał; często pocierał niecierpliwie wysokie czoło i smaglawe

kształtne rysy twarzy, na których piętno młodości rzeźwość, jeszcze błyszczała. Długo tak w przywykłym do burdy pokoju, panowało głucho grobowe milczenie.

Lekkie nakoniec skrzyknięcie drzwiami oznajmiło czyjeś przybycie, poczem przepelznął przez próg w poszarpanej nawpół łachmanie Żydek, a nieśmiejąc przerywać jakby zakłętego milczenia, ostróżnie umieścił się przy piecu i czekał długo, czy nie spotka go pierwszej pytania ze strony gościa. Czekał, i niedaremnie; ocknął się bowiem ten ostatni, rzucił wzrok na milczącego przychodnia, i grzmiące *co?!* odbiło się po wszystkich kątach, spokojne burząc powietrze.

— Już jedynasta wybiła u S. Jana, ozwał się przelękniony żydziuk, a gospodarz kazał zamykać bramę, bo— Groźne *co?!* wyleciało po raz drugi bujać po hotelu i pewnie całym swym ciężarem wgrzęzło w ucho przestraszonego bochura, wstrząsł się bowiem jakby ude-

rzony iskrą elektryczną, nie dokończył już gospodarskiego polecenia, mimowolnie odmierzył krok jeden ku drzwiom, a może też i umyślnie, chcąc uniknąć dokładniejszego zapytania niżeli grzmiące *co?*! a które lękał się uczuć wypoczywające na swoim grzbiecie; lecz Norsztyn zerwał się nagle, dał kilka sążnistych susów i już ma w swoim ręku trzęsącego się z bojaźni bochura; odtrącił nogą przymknięte drzwi i wyrzucił go przez próg, z kąd był przyszedł, dla siebie po licho. — Ha! Żydzie; raz to już czwarty zły duch naprowadza cię na mnie; wymruknął zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Żydek wypuszczony w powietrze nie był balonem, nie mógł też długo i unosić się; padł więc z przeraźliwie wykrzyknioném *aj!* do bufetu, a brzęk szkła które upadając pogruchotał zmieszany z wykrzyknionym *aj!* dziwnie melodyjną wydał harmonią.

Między Żydami nie masz a przynajmniej bardzo mało amatorów muzyki; ta zaś harmonia

tak była nadzwyczajną, tak rozrzewniającą, iż cała chałastra Żydów, z przyległej bufetowi izby wysypała się w nocnych ubiorach, na czele której tryumfalnie, w bieliznie Sora-Rywa, za nią tuż jej małżonek, dalej jeszcze kilkoro żydziątek tak odzianych, że aż litość bierze, rzucają się razem na pełznącego jeszcze nieboraka, i ten przy licznych pogróżkach poczuł na sobie z różnych stron, i twarde i miękkie spadające nań żydowskim zwyczajem ściśnione pięści: sądzili bowiem wszyscy, iż on śpiąc upadł i narobił im tyle hałasu i szkody; lecz przywrócony razami do przytomności z płaczem wyjąknął jak się miała rzecz cała między nim a obecnym jeszcze gościem.

Słowa Żydziuka były jako wiatr silny, i całą tę ciężarną grzmotami chmurę skierowały do izby, w której Norsztyn siedział najspokojniej oparłszy się na rękę z zatopionym wzrokiem w tlejącym dogarku.

Sora-Rywa nie wstydząc się odzieży w jakiej tylko przed małżonkiem zwykle się ukazy-

wała, lunęła nań deszczem zapytań i zakończyła piorunem groźby: Pan za wszystko zapłaci!

— Daj mi lulkę Żydowico, łagodnie przemówił atakowany.

— Ja nie wiem co to pan!... wrzasnęła Żydówka, ja nie chcę!... ja nie żartuję;... niech pan pierwszej szkodę obaczy i obliczy!

— Do milion kroć set djabłów! zawołał Norsztyn, przeklęte Żydy jakąż macie szkodę? Powstał i tak nagle stapał do pełnego szkody bufetu, iż byłby wywrócił stojącą na progu w romantycznej odzieży Sorą-Rywę, gdyby tuż stojący jej małżonek nie pośpieszył na pomoc godnej swej połowicy.

— Co?!... pan!... ja nie chcę; przemówił nakoniec jękając się dotąd delikatny dla gościa Moszko. Co to pan?!... pan takiego!... żona już prędko słabą będzie; a pan zrobił! co pan zrobił?!

— Bredzisz żydowski kozle! odrzekł Wacław, co zrobił? bochura tylko pogłaskałem, grzecznie mu powiadając, żeby siedział w bu-

fecie; czy ja winienem że on cymbał upadł i narobił ci tyle hałasu? a że twoja żonka prędko już będzie słabą, ja także temu nie winienem! Życzę jej szczęśliwego rozwiązania się. Za szkodę płacę, a nie wrzeszcz.

Cała szkoda zawierała się w dwóch zbitych próżnych butelkach i starego garnka; rzucił więc między potłuczone naczynia hollenderskiego talara, na brząk którego Moszko ułagodził się, a Sora-Rywa oparłszy się na bachurku tuż przy niej stojącym wyszła, zdawszy już resztę na delikatnego małżonka.

— Żydziuk ze zręcznością kocią rzucił się za talarem i oddał go Moszkowi, ten zaś niby niechęć przyjął, położył w szafie i mruczał pod nosem, że nie chce już dłużej utrzymywać handlu, przy ciągłych stratach i w dodatku codziennych burdach panów gości.

Gdy Moszko tak delikatnie przemawia, o-demknęły się drzwi i szumnie weszło kilka osób z ochoczym na twarzach rozpogodzeniem; wszyscy po znajomemu z oznaką radości przywitali Norsztyna, a później i Moszka kpinami grub-

szego końca: pozwolili sobie nawet niektórych żartów na rachunek obójgu małżonków, lecz on bez urazy potrafił to wszystko wysłuchać; spodziewał się bowiem z ich przybycia obaczyć jeszcze jakie grosiwo w swych łapczkach.

Wniesiono projekt względem wódeczki; silnie też poczęto wotować — i uchwalono; kazano pozapalać świece, co wszystko, dzięki gościnnemu i usłużnemu Moszkowi, w jednej wykonano chwili.

— Ale coż kochany i szanowny panie Wacławie, zapytał w starym kontuszu i nie młody już, samego cię i o tej porze tu znajdujemy?

— I cóż dziwnego? odpowiedział Wacław; czy to raz pierwszy; z resztą, przed kilką ledwo godzinami co przyjechałem i znowu wszakże widzieliście konie stoją przed bramą, wyjeżdżam na Podole; pewnie długo zabawię, chciałem dla tego z wami się jeszcze zobaczyć.

— Cóż to tak prędko; a dla nas niespodziewanie chcesz Wilenko nasze osierocić? zapytał drugi.

— Nudno mi; odrzekł Wacław, potrzebuję coś nowego. Oh! przeklęteż bo to Wilno! ile mi ono czasami psikusów napłata.

— Jesteś osobliwego charakteru, powiedział pierwszy kontuszowy, często bardzo przemieniasz swe zdanie; dzisiaj wiatr taki, a jutro inny zawieje ci do głowy; tyleż razy nam w tém samym mawiałeś miejscu o przyjemnościach i wesołym pożyciu w naszej patryarchalnej stolicy; a teraz zdaje się gotowbyś szturmować do niej! co to znaczy?

— Zapewnie jakieś małe awanturki, rzekł w niemieckiego kroju fraku młodzik.

— Jeszcze może miłośne, dodał inny.

— A zgadłeś! odpowiedział Wacław, marszcząc czoło, lecz już dałem sobie dzisiaj słowo nie tknąć tych pyz fajansowych i zimnych.

— Sąd własny chociaż znaczy cokolwiek przemówił znowu kontuszowy, lecz ogólne zdanie znaczy więcej; ciekawi tedy jesteśmy kto? i jak potrafił go zagniewać na nasze grzeczne Litwinki?

— O bądź pewny! odpowiedział, z niejaką urazą Waclaw, że się nie omylę w sążeniu; zdanie moje położyć możecie śmiało każdy pierwej aniżeli swoje.

— A czy się godzi panie Waclawie? rzekł śmiejąc się kontuszowy; już się i na mnie gniewasz?

— Bynajmniej, odpowiedział, ja to mówię bez gniewu.

— Jednak my ciekawi jesteśmy poznać powód jego gniewu, jak tam mówisz na te fajansowe pyzy; zapytał jeden, w złym polskim języku.

— Zauważcie tylko sami i osądźcie! mówił powstawszy Waclaw; wczoraj gdy miał już wyjeżdżać do Wilkomierza; wszakże wicie byłem proszony od Podskarbiego, wstąpiłem pierwej do Julki Wybornickiej; krótko tam bawiąc oznajmiam jój, że wyjeżdżam na bal; mocno tedy poczyna utyskiwać, powiada że mój wyjazd pozbawia ją przyjemności jakąby mieć mogła ze mną. — Jakiemiż sposobami mógłbym zadość jej uczynić? zapytałem. Skromnie mi

odpowiada : że dzisiejszy wieczór wolny jest dla niej od natręstwa męża , miał tam gdzieś bydź proszony także na wieczór , czy na bal ; a dla tego moglibyśmy przyjemniej niż kiedykolwiek w towarzystwie bez niego czas jakiś przepędzić. Wiécie, wszakże Julka jestto sobie nieszeptna dziecina ; pomyślałem więc , tak , nieźleby to było ; z drugiej strony myślę , iż gdybym odmówił jej żądaniu , wydałbym się brutalem, niegrzecznym ; najsolenniej więc przyrzekłem zawezasu jeszcze dziś przyjechać i uczynić zadość jej żądaniu.

— No! teraz ciekawe następują rzeczy; prze-
rwał ten, co pierwej zepsutą polszczyzną przemawiał.

— A co może wódeczki? zapytał ubrany po niemiecku.

— Moszko daj nam gorzałki! krzyknął Wacław; owoż najweselsze, najprzyjemniejsze, ciągnął dalej, porzuciłem towarzystwo, byle, jak sądziłem, uczynić zadość Wybornickiej. Zmierzchać się już poczynało gdy wszedłem do niej i zastałem nadzwyczajnie wesolą; dziękuje

mi za dotrzymanie słowa; lecz czyż wam wszystko mówić; poczyna mnie bawić po dziecinnemu, gra na klawikordzie i zdaje się być daleką od napomkniętej wczora przez nią mianej być dzisiaj ze mną przyjemności: nudziło mnie to, cokolwiek się nawet niecierpliwiłem; lecz pomyślałem, młoda; niedoświadczona, nie dziwnego; zauważyłem więc, iż powinienem przyjąć na siebie stanowczy początek tej porady. Znalazłem wprawdzie po otwarciu posiedzenia przeciwną, nie zgadzającą się na podane zgrabnie przeze mnie projekta; lecz gdy dokładniej począłem je tłumaczyć, oraz wynikające z tego korzyści i przyjemności dla obójga.

— Więc było dobrze! przerwał ten co źle mówił po polsku, a któremu już wódeczka poczynała rumienić policzki.

— Milcz Francuzie! krzyknął Wacław: otoż przed tym uporeczywa zgłaszać się, przychyłać się już poczynała do mojego zdania, i w tej tak stanowczej dla mnie chwili przychodzi mąż.

— I pracę mozolną całego wieczora w jednej niszczy sekundzie; odezwał się ktoś z boku.

— Z początku mocno mnie to oburzyło, dalej ciągnął Wacław; sądziłem bowiem jako i teraz sędzę że to jest umyślnym głupim fortelem nierozsądnej; lecz pożałuje ona tego! Prędko więc wyszedłem i dałem obójgu poznać, iż to mnie bardzo mało, weale nie nie obchodzi. Oho! lecz nie zapomnę tej zdrady, chyba nie Norsztyn jeśli to zaspie. Na teraz będzie z niej i tego dosyć! rzekł obracając się do Żyda, który razem ze wszystkimi wszedł: jutro zajdziesz do mnie na stancyą i każesz sobie dać ten list co zostawiłem na stoliku; wręczysz go samemu Wybornickiemu.

— O! dawnych czasów u nas tak nie robiło się, rzekł kontuszowy; takich zrad nigdy męzateczki nie znały.

— Tak! tak! to bardzo haniebnie; warta pomsty, zawołali niektórzy.

— A może też ona zupełnie temu niewinna, rzekł ktoś z młodzieży.

Francuz pochwycił zdanie usprawiedliwiające Wybornicę i silnie go popierał; nie radził Wacławowi brać rzeczy tak za gorąco; on tłu-

maczył nakoniec zupełnie Wybornickę, mówił że ona nie jest zdolną do zdrad podobnych: począł wrzeszczeć z całej siły, że dawał jej lekye języka francuzkiego w czasach, gdy jeszcze nie była zamężną i nie widział w niej usposobień najmniejszych do podobnych postępów. Później jakiś muzyk odczuwał się za Francuzem i popierał zdanie jego, oparte jednak na znajomości osobistej z Wybornicką już kilkoletniej, z powodu także dawania lekeyj na klawikordzie; mówił że ona nadto jest exaltowaną, nadto czuła iżby podobną zmazać się mogła zdradą. Z resztą, wszyscy jednogłośnie wnioskowali że na takie występki potrzeba wielkiego herroizmu, odwagi; nasze zaś buziaczki tak są lękliwe, tak przystępne, jak młode koteczki. Ogólne więc zdanie twierdziło, że przyjsie Wybornickiego było trafem nieprzewidzianym i dla Julii zapewne bardzo nieprzyjemnym; niegodzi się więc dla tego żadnych jej za to psot wyrządzać.

Wacław poległ na zdaniu dawniej Julii znajomych i cokolwiek odobruchany rozkazał podać

kilka butelek starego miodu ; co nim nastąpiło, podniesiono jeszcze wódeczki i wypito kolejno.

— Zapewne z tej przyczyny panie Wacławie, zapytał kontuszowy, zastaliśmy cię w tak niezwyčajnym humorze ?

— A właśnie z tej przyczyny; nawet mój wyjazd tak prędko na Podole zupełnie jest bez namysłu ; osnułem go tylko powracając od Wybornickiej ; kazałem więc Nahajce pójść po konie, napisałem list, a sam chcąc się z wami jeszcze widzieć zaszedłem do Moszka.

— Dla tego już zapewne nie wyjedziesz, zapytał Francuz, pozwoliłeś bowiem sobie uniewinnić Julię.

— O ! koniecznie, koniecznie ! rzekł Wacław, za nic tego nie odłożę ! Mendel ! krzyknął obracając się do Żyda, listu już nie odnoś, nakażesz tylko jutro lokajowi, iżbym go zastał gdy powrócę nierozpieczętowanym.

— Dobrze panie ; odpowiedział Mendel, może się jeszcze kiedy na co przyda.

— Osiół jesteś ! rzekł Wacław, czyż sądzisz, że chciałbym kiedy jeszcze podobnej przygody ?

— Ja i na to się zgadzam, odpowiedział Żyd.

— Dobrze żeś zaszedł tu, odezwał się jeden rubaszny i ze szramem na czole od pałacza; i widzisz się z nami, bezwinnie bowiem byłaby Julia ofiarą twego gniewu.

— Kiedyż bo strasznie podłym zdawał się być jej postępek! wrzasnął Wacław.

— To co miałeś dzisiaj to głupstwo, zawołał kresowaty; Zarebalskiemu coś się więcej wydarzyło, ja zaś jeszcze większy mam kłopot a cierpiemy.

— I cóż takiego? zapytał Wacław.

— Ot z tą Emilką; odpowiedział zapytany.

— Bo dzieci jesteście! rzekł Wacław, z nią dawnobym inaczej już doprowadził rzeczy do końca.

— Kiedyż bo rękami i nogami przywiązała się do mnie, powiedział śmiejąc się kresowaty.

— I nogi i ręce, rozdjalbym! wrzasnął ze śmiechem Wacław, a później wydarł się i uciekł! a tobież Zarebalski co się przytrafiło?

— Ale to powiem ci panie Wacławie, odczwał się zapytany, że jeszcze podobnego tworu nie widziałem, czy dacie wiarę panowie? w pewnym domu byłem raz niepostrzeżonym świadkiem ich rozmów; między innymi, Felix jej mówił: ja ciebie Emilko nie kocham. Ale to wierzyć nie chciała; jeszcze ze śmiechem lecz stale rzekła: mów sam Felixie, świat cały niech mówi, że mnie nie kochasz, to nie dam temu wiary; ja wiem że giniesz za mną.

— A! to jest dobrze, przemówił ze śmiechem Wacław, wiecie że taka miłość podoba mi się.

— Jednak szczęśliwy małżonek, jeżeli go kiedy mieć będzie; odrzekł Zarębalski, rogi wyższe i krzesłatsze jak u jeleni.

— To rogi wyrastają czasami; zagadł śmiejąc się krésowaty; patrzcie! więc ona ma chęć i nadzieję zrobić mię rogatym dobrego gatunku jeleniem — o! co z tego, to nie nie będzie; muszę jej dać nakoniec rozwód, a przynajmniej będziemy w separacie. Ależ gracko Zarębalski, gracko spisałeś się dzisiaj!

— Cierpliwości bo zabrakło mi już! lubię, wszakże wiecie, z zimną krwią słuchać żartów; lecz od niej aż nadto ich było.

— Cóżto między wami zaszło? zapytał kontuszowy.

Głupstwo! krzyknął Zarębałski, swoim tym gadziny językiem bardzo za śmiało pozwoliła sobie co się tycze mnie; porwałem się z krzesła, przystąpiłem aż do niej i chciałem w pysk uderzyć; wstrzymałem się tylko, pomnąc w jakim jestem domu, a tych gospodarzy szanuję: lecz ją to nie minie.

— I na tém skończyłeś; rzekł śmiejąc się Wacław, żeś przystąpił do niej?

— Nie, nie na tém, ciągnął zapytany, powiedziałem jej twardo, w obec wszystkich, że jestem mężczyzną ona zaś kobietą; że ma twarz, i że ta przypadkiem może splonąć niezwykłym rumieńcem za podobne nadużycie języka.

— Onaż ci zmilezała? zapytał Wacław.

— Ona milczała; odpowiedział Francuz, ja tylko z drugiego pokoju zapytałem ją, grzecznie jednakowo, czy lubisz pani chrzan? tak, tak,

mówił dalej, doświadczona panienska, jej noga postawiona w oknie byłaby najrzetelniejszym barometrem.

Podano nakoniec pożądanego miodu i rozlewano do szklanek te krople żwawego humoru.

Wacław na teraz próżnował: on zimnym lecz zadowolenia okiem mierzył pijacą hołotę; i zdaje się wielką czuł przyjemność patrzeć, jak zwolna, stopniowo krople sączone z butelek działały na charaktery współkołegów: żywsza bowiem wszczęła się biesiada, bujnemi śmiechy i tłustemi już żarty, jak to zwyczajnie zdarza się w podobnych razach, napelniono hotel, w którym tak niedawno głucho panowało milczenie; mięszały się różno-tonne i różno-rodne głosy i słowa; wszyscy, chociaż nikt nie słuchał wrzeszczeli; każdy bowiem chciał coś szczególnego powiedzieć i sobą albo wszystkich zadziwić lub też rozśmieszyć i zabawić.

Wskrzeszono tu dawne czasy i dawno spoczywające w Bogu dusze; nie jedne były sprzeczki między Francuzem, Zarebalskim i kontu-

szowym , jeszcze o królu Henryku , o królowych Polskich z domu Francuzkiego; znaleźli się i tacy co rozprawiali o wojażach w obce kraje, o miastach wielkich , ludziach znakomitych i t. d. Widziéć tu można było jak na dłoni różne a różne przygody, i awantury studentów Wileńskieję Akademii. I pan Mendel Żyd , nie jednę także awanturkę , a miał ich dużo , nie zaniedbał wtrącić do powszechnego chaosu ; a częstými żarcikami , które uważał w swéj żydowskiej głowie za dowcipne, widząc przytém usposobienie Norsztyna i znając że to nie pójdzie mu plazem , rozweselał wiadomą mu hojnością kieszeń jego.

Przy tak wesołym wszystkich humorze , Wacław dał rozkaz stawiać na stole tyle butelek starego miodu ile było osób , a na każdego licząc po pięć.

— Nie raz słyszałem i powszechnie tak mówią : bogdaj to w gronie przyjaciół , bogdaj to bez trosk , bogdaj to wesoło można życie przepędzić ! pytam czy to rozsądne , czy to nie dziecinne żądania ? Czémżeby człowiek , osią-

gnąwszy już cel życzeń swoich mógł nazwać to życie? jakiemi kresy, potrafilby go ograniczyć? oto całą swoją wesołą, chociażby najdłuższą tegoczesną wędrówkę w jednejby musiał zawrzeć godzinie.

Przy kilku kieliszeczkach wódeczki i kilku tuzinach butelek starego miodu, nasi znajomi tak dzisiejszą noc przyjemnie strawili, tak im czas mile i niepostrzeżenie zleciał, że już dobry dzionek w oknie zabłysnął, a oni jeszcze i nie myśleli o pożegnaniu tak drogiego i tak zawsze pożądanego przyjaciela Waclawa.

Gdy ostatnie pożegnalne toasty spełniano, weszło dwóch świeżych gości, a niezgrabnie okręciwszy się po izbie, usiedli przy stoliku i oba gapiowato patrzali na biesiadujących. W minut kilka Waclaw przyłożył do ust palec i gwizdnał przeraźliwie. Dwaj nowo-przybyli zeskoczyli z krzesel, a oczy ciekawe i pełne wyrazu podziwienia przenieśli na Waclawa, gubiąc się w domysłach i niepojmując tego hajdamackiego hasła; lecz w tém olbzymiego wzrostu schyliwszy się przełaząc próg, wszedł

człowiek ; w grubój lubowatój szerściannej krótkiej burce , czarnych szeroko obwisłych pantalonach ; zpod burki wystawała cokolwiek kurtka błękitnego koloru ; pas skurzany nabijany srebrnemi guzikami zdawał się być raczej żelazną sztabą licznemi gwoździemi przykutą , krępującą w pół olbrzyma , za pasem stęrczał nóż duży , w gatunku kindzału , dwa pistolety i kańczuk zwieszał się : na dużej marsowych rysów twarzy , kręciły się ogromne wąsiska ; łeb nisko ostrzyżony , z lewego tylko boku nad uchem powisł długi , z zaplecioną wstążką warkocz.

— Szco Nahajka? przemówił doń Waclaw.

— Zdorow batku , odpowiedział nowo przybyły.

— Zymno na dwori ?

— Ni to tepło , ni to zymno , odrzekł zapytany.

— Pokaczajem ! wypyj i zapłaty !

Nahajka obrócił się do Moszka , kazał nalać starej wódki półkwarty i dwóma bratniemi hausty , ryczałtem zlał w siebie ; dobył z kiesy co podług sumiennego rachunku Żyda za cało-nocną

pańską rozrywkę należało i zapłacił. Poczém podał Wacławowi ciepłe Miedźwiedzie, przewiązał bogatym tureckim szalem i wyszedł.

Wacław także zaraz każdego z kolei nocnych towarzyszków uściskał i wszyscy razem prócz Zarebalskiego, znikli z tego przybytku burdy i weselości.

Zarebalski został z nowými gośćmi; byli to bowiem wieśniacy i jemu cokolwiek już znajomi; zauważył więc chwilę terazniejszą za dogodną, dla bliższego z nimi zaznajomienia się; wszczął więc małoważną rozmowę. Niepogoda na dworze! mówił, droga zupełnie się popsuje.

— Już to powszechnie tak, odpowiedział jeden.

— Czy też długo jeszcze panowie zabawią? zapytał znowu.

— Dni jeszcze kilka trzeba będzie przesiedzieć tu w Wilnie, odpowiedział drugi; kto to jest taki zapytał co tu był i pojechał?

— Zarebalski, swoim zwyczajem od pompatycznych począł wyrazów. To mój dawny znajomy, jeszcze z uniwersytetu kollega, przy-

jaciel od serca; dziwak czasami, ale wyborny weselezak.

— Prawda że dziwak! powtórzył pierwszy, proszę pana, po co on tak świstał?

— Przecież widzieliście, odpowiedział Zarębalski, że on tak gwizdnął na swego lokaja.

— Czy to lokaj taki?! rzekł drugi dziwiąc się, cóż to za człowiek że trzyma takich lokajów?

— Nasz Polak Wacław Norsztyn, odpowiedział Zarębalski; bogaty człowiek! niedawno zmarł mu jego ojciec i zostawił ogromne majątki na Podolu, Wołyniu i w Wielkiej Polsce. Trzy lata temu przyjechał on tu do Wilna, w celu słuchania nauk w naszej akademii: razem tam chodziliśmy! ale to powiem panóm, dusza nie człowiek, a zawsze hukiem pieniędzy! rozumi się wtenczas jeszcze mu ojciec przysyłał. Żyliśmy jako i żyjemy, w największej przyjaźni i wesoło. Uważacie panowie, jednego razu, nie pamiętam o co im poszło, z jednym Jezuitą professorem który przyszedł wieczorną go porą odwiedzić; ktoś był u niego — zwyczajnie jak to u nas w mieście, u niezonatych.

Otoż on odliczył mu kilka poważnych policzków, a ten co to widzieliście hajdamaka kozak Ukrainiec, stracił go jeszcze ze wschodów i od tego czasu, nie chodzi już więcej na lekeye.

— A cóż jemu za to było? zapytał pierwszy.

— Cóż miało być? odpowiedział; Jezuita tylko jakiś czas chorował.

— Czyż to tak można robić studentom? zapytał drugi.

— Oho! my wieszamy tych łotrów gdy się zdarzy, odrzekł Zarębalski.

— A czegoż on teraz w Wilnie uczy się? zapytał pierwszy.

— Niczego, ciągnął zapytany; żyje sobie często w Wilnie, często też i wyjeżdża, Pan Bóg wie gdzie; był już i w Paryżu, ale gdzież to on już nie był; zresztą rządzi majątkami, gdyż go ojciec już odumarał. Zajęcie się zaś jego jest: dobrze się ubierać, na bale uczęszczać, dniem zawracać głowy ładnym meżatkóm, a wieczorem przechadzać się po pod oknami, rozmawiać z niemi, czasami skoczyć też do której przez okno na pogadawkę, jeżeli brama

zamknięta — i... no tam już reszty domyślać się możecie; czasami też popić, pohulać, wlecieć do handlu, zrobić coś śmiesznego, spletać jaką awanturkę; o! do tego to już majster! Niechże go kto znówu w czym zdradzi, lub jego albo kogokolwiek bądź w towarzystwie z nim będących za honor szarpnie; tak wtenczas do szaleństwa, dzikości przychodzi! wszystko przewrócić, zburzyć, zgubić, zdusić niczem dla niego! słowem, wszelkich użyje sposobów, a zemści się; a wieleż to on pojedynków i zawsze z chwałą dla siebie, odbył! Nadzwyczaj śmiały!

— A tenże co to wszedł był na przeraźliwe hajdamaekie świstanie? zapytał jeden.

— To kozak, Ukrainiec! lokaj, mówięmże, jego prawa ręka; zawsze przy nim, lecz swego ukraińskiego języka i odzieży nigdy nie porzuca.

— To są widzę jeszcze na świeccie dziwaki! odrzekł zapytujący. — A co panie, my dzisiaj nie piwszy gorzałeczki. Koleżko napijemy się?

— Dobrze; odpowiedział drugi.

— Daj Sorka gorzałki! krzyknął pierwszy, tylko duże kieliszki!

Sorka podniosła trzy kieliszki pożądanego trunku i wypito.

— Cóż koleżko? odezwał się jeden; pójdziemy; może już czas?

— Dobrze, pójdziemy.

Tu pożegnali Zarębałskiego i wyszli. Zostawiony sam amator wieśniaków nie miał ochoty bębnić długo po szybach, wyglądając nowych zapewne przybyszów, prędko wyszedł także; a gdzie się udał? pewnie do drugiego handelku.



III.

Słońce już wysoko podniosło się nad ogołoconemi z zieloności lasami; jaskrawe jego promienie dawno już ozłacają nasiadłe massy śniegu, pod ciężarem których uginają się sędziwe wiekiem zasiane dęby. Dawno już brylantowe gwiazdeczki, prassą mrozu ciśnięte, tęczowemi kolory barwią bielejącą ziemi powłokę. W starożytnym enych przodków Podkomorzyny Dobruckiej jakby barońskim pałacu, dawno już niewyspani służalcy dbali o wygodę i dobry humor swych panów, ruszają się jak w kuźni plutona czeladź. Gdy tymczasem ich że Panowie, za pysznemi, od złota lśniącemi się kotarami, pieszcza jeszcze swe członki, snąc wieczorna

znużeni zabawą, nie chcą by rannego słońca promień przejrzał się w ich oku, i zawstydził zmienione wczorajszą hulanką lice.

A szumna być musiała biesiada; natłok bowiem powozów, których już niewmieściły pod swe olbrzymie opiekuńcze dachy, przepyszne pańskie wozownie, obozują na obszernym stajennym dziedzińcu.

Przed gotyckie filary pałacowego ganku, zajechał woźnica niewielkimi odkrytymi sańmi, ciągniętymi przez cztery dzielne karosze.

Wnet pokojowiec skoczył na pańskie pokoje; przeszedł długi korytarz prowadzący ku lewemu skrzydłu, i odemknął drzwi gabinetu w którym wypoczywał Staroście Tarło.

— Ha! co tam? zawołał obudzony.

— Pan Staroście o dziesiątej kazał siebie obudzić; odezwał się pokojowy, pokazując zegarek wzięty ze stolika, już pół do jedynastej.

— A tak, dobrze, czy śpią jeszcze w lewem pawilonie?

— Wszędzie jeszcze śpią.

— Konie czy założone?

— Już od pół godziny czekają w gotowości.

— Dajże mi lulkę.

Przy podaniu kawy gdy już była jedynasta, doniósł pokojowiec, że w lewém skrzydle poezeli już wstawać, (lewy bawiem pawillon zajmowały kobiety); Staroście oznajmił, że ubierać się będzie. Szmer jaki być musiał przy ubraniu Starościecia, pomimo nawet wyuczonych ostrożności służalców, obudził w sąsiednich pokojach śpiących gości; i gdy doniesiono odzianemu, że Podkomorzyna i jej córka przyjmować już mogą, więc śpieszącego przez pokoje spotkały poufale pozdrowienia.

— A cóż tak rano Ryszardzie? wszak to dopiero tylko jedynasta.

— Dzień dobry; jakże się spało?

— Czy już jedziesz?

— Wnet odjeżdżam.

— Nie późnij się tylko jutro. Ryszard odpowiedziawszy kilka pożegnalnych słów, opuścił gości i poszedł kurytarzem prowadzącym na lewe skrzydło pałacu.

W niewielkim saloniku na śrzodku stał owalny

stół z kolosalnym srebrnym imbrykiem; przy którym z takiegoż metalu taca, kryształowemi ugarniowana filiżankami; kilka małych delikatnych krzeseł, w około stolika umieszczone na pysznym perskim kobiercu; okna zaś weneckie udrapirowane w kwiaty gruppami, w cień dobranemi.

Do tego salonu wszedł Ryszard, i najprzód przewitany od ogromnej kakadu, siedzącej na cytrynowém przy podwojach drzewie; poczem z bocznego gabinetu wyszła Dobrucka i lekkim skinieniem głowy został także od niej przewitany.

— Jakże zdrowie kochany? czy dobry sen miałeś?

— Z wieczora czułem nieco bólu głowy; wszakże sen wszystko ukoil.

Usiadł Ryszard na wskazaném sobie miejscu, otrzymał kilka mało-znacznych zapytań, na które starał się śmiało odpowiadać, a wszakże nie bez winnego uszanowania; niezadługo potem dodał: przyszedłem mamę pożegnać, dawno albowiem powinienem był wyjechać.

— Jeszczeż zajedziesz dzisiaj. A co? może

z nami pozwolisz na kawę? tylko cośmy piły z Olimpią.

— Dziękuję mamie; już jestem po kawie. Czy panna Olimpia już ubrana?

— Zapewne z nią chcesz się widzieć? dobrze, pójdziemy do niej.

Wzięła Ryszarda pod rękę, przez kilka przeszli salonów i znaleźli się w pokoju, który, bez przesadzenia, przybytkiem rajskim nazwaćby można.

Olimpia, jest to ten rzadki twór natury, którym tak lubimy paść swoje oko dziwując się możliwości i bogactwu w pomyśle Stwórcy. Jest to ten sam ideał kiedy młodzieniec tylko co poczuwszy w swej piersi życie, osnuje w wyobraźni, a za którym wiek cały, życie całe goni napróżno. Lice jej śnieżne, na przezroczystém tle którego, tylko co przepęka piękna róża i rozlewa zwolna po kształtnych rysach błogi, poranny, nieotarty jeszcze słońcem z rosy kolor: krucze włosy, zwijane w kędziory, spadały w nieładzie na jakby toczone z alabastru ramiona; czarne oczy tak miłym gorą blaskiem, iż na

ich ponętę głaz martwy, życiemby odcelchnął; zaś usta jej bladoróżowego koloru, świadczące o niedawném jeszcze przebudzeniu się i lice czarujące, uniał uśmiech, który tylko jedna miłość pojąć zdoła.

Taką była Olimpia gdy Ryszard wszedł do jej pokoju: ona siedząc za krosienkami i migocząc igłą, siała kwiatuszki ponsowym i zielonym jedwabiem po niebieskiej z aksamitu niwie.

Ryszard ucałował drobną rączkę tej dziwnie pięknej postaci; a wzamian lekkie lecz czule odebrał seisnienie.

— Olimpio, odezwała się Dobrucka, Staroście wyjeżdża i chciał się z tobą jeszcze widzieć, przyprowadzam ci go tedy; ja mam małe jeszcze niektóre zatrudnienia i nie mogę pozostać z wami; co powiedziawszy wyszła.

Milczenie było odpowiedzią; ale jakże to milczenie wiele zawierało w sobie dziękczynnej wymowy. Wy, którzyście koehali kiedy i gdy wam podobną kto wyświadczył łaskę to milczenie dostatecznie pojąć i ocenić potraficie!

Jak tylko wspaniała Dobrucka zdołała przy-
mknąć podwoje, już młodzi znaleźli się przy
sobie, i ognisty pocałunek złączył te dwie piękne,
żarem miłości gorejące dusze.— O! jak im błogo
teraz! oni milczą, lecz serca ich rozmawiają
językiem uczuć, oni prócz siebie nic nie widzą;
terazniejszość tak pięknie dla nich się uśmie-
cha.

O! zostawcie ich teraz! zostawcie w tém
mielejącém szczęściu; teraz zda się Pan Bóg
kocha ich jak swoje dzieci; zostawcie! wam
świata sędziom co do nich; szczęście ich prze-
wyższa wasze pojęcia, wy i we śnie tego nigdy
widzieć nie będziecie.

— Olimpio! odzywa się nakoniec półgłosem
Ryszard obwijając nadobną kibić swemi rękami;
Olimpio! my wiecznie kochać się tak będziemy....
Tu poraz drugi usta ich i dusze złączyły się: —
przeszłość, przyszłość niknie im z oczu, z pa-
mięci: i miłość wieńczy się zwycięstwem.

Upojony szczęściem Ryszard siada u nóg
swej kochanki. Światłe łzy pokazały się w jej
oczach, a brylantowym blaskiem przebiegłszy

po płonącej twarzy, dużemi perły powisły na wzniosłym Ryszarda czole.

— Co jest tobie? zapytał, ty płaczesz?

— O! niech płaczę, to łzy złote! Ryszardzie, dodała z cicha, ty mnie nie kochasz?

Porwał się Ryszard, jakby w tej chwili piorunem był rażony; ukląkł w zapale jakiegoś szaleństwa, znowu się rzucił, podniósł czoło ku niebu, tysiąc wspomnień w jednej chwili uderzyło w skołotanej jego głowie; targały mu serce, krew burzyły, silił się, szukał czegoś w swoich myślach, znaleźć nie mógł; zdaje się że ciężki kamień padł mu na piersi i oddech tamował. Długo tak z niemej wyrazem rozpaczki patrzył w milczeniu na tego anioła piękności, ze łzami w oku, smutkiem na czole; każda jej łza padała mu na serce, paliła, raniła ostrzem tysiąca sztyletów.

Łzy! łzy! cóż to są łzy? jakże to wiele zamyka się w tém słowie, jakże to często jest wymawiane to słowo — a czy prędko doczekać się możecie tej łzy? czyście widzieli kiedy łzę? czy płakaliście kiedy?... Czy byliście kiedy przy

martwych szczątkach człowieka, przyjaciela, którego życie, dusza już wywołana z tego ciała, ze zgniłego domu na słabej zbudowanego pajęczynie? czy patrzaliście w zagasłe już jego życia pochodnie? w oczy, w te oczy, niegdyś tak żywe i świecące jak dziś wasze; w te oczy, które on zawarł w ostatniem przyjaźni spójrzaniu; te same oczy co razem z waszemi na drogę życia patrzyły, z których od lat dzieciennych lała się do waszej duszy pociecha, i otwierała, torowała wam drogę do bramy niebios, do szczęścia... Nie było oko wasze wtenczas wilgotne? nie spadłaż łza piekąca na martwą, ssiniała twarz trupa? Co mu dziś w wieczności jak najjaśniejsza świeci pochodnia..... A gdy przyjaciel jeszcze żywy, lecz burzą świata, losem odłącza się od was; on nie umiera, on żyć będzie, lecz daleko, nie z wami, on was będzie kochał, czuć będzie dla was to co i piérwój, lecz daleko, nie z wami. O! niech was Bóg broni od tego! niech nawet myśleć nigdy o tém nie dozwala! łza, rosa duszy, rosa ożywiająca, stanie się dla was wtenczas ogniem

piekła całego, wysączonego ze słodkich i gorzkich wspomnień przyszłości i przeszłości, jak wydystylowanego przez nieskończoną nicłość, znikomość terażniejszości! O! ciężko w ówczas, grzebiąc go żywo powiedzieć: żegnam ciebie!... Ale daleko ciężiej, daleko straszniejsza jest łza kochanki; daleko więcej gorącą, gdy ta wynikła z gorzko piekącego źródła jej serca, i hojnie twarz osrebrzywszy spadnie na czoło kochanka.

Zwolna Ryszard podchodzi i słabym głosem rzecze: — Olimpio! błagam cię, przysięgam, czyliż ci jeszcze potrzebne są przysięgi? zaliż czynione dotąd nie są dostateczne? z samych przysięg złożone pioruny nietylko by wiarołomcę, lecz świat cały w popiół obróciły.

— Daruj mi Ryszardzie! nadto cię kocham, a dla tego ta myśl; iżbym dla mego nie poświęciła twoje szczęście truje mi spokojność. Słuchaj luby, każdy bowiem wyraz wydobyty będzie z duszy i serca Olimpii.

Tu wolniej odetchnęła, zdawała się czas jakiś namyślać, nakoniec śmiałym porzęła głosem,

— Nigdy zapewne nie wątpiłeś iż miłość moja dla ciebie z prawdziwie tylko czystych powstała nasion: Ryszardzie! jam ci poświęciła przedwczesnie to co ma najdroższego pleć nasza, poświęciłam ci cnotę; potrafiłeś korzystać z mojej dla ciebie bez granic miłości: od niejakiego czasu czuję że prędko zostanę już matką twego dziecięcia; lecz nie sądź bym ci miała robić jakie wyrzuty, narzekać na ciebie; nie! ja cię w tém nie winię; była to chwila zapomnienia się zobopólnego; związaliśmy się przysięgami, wprawdzie były te w obliczu Boga, lecz nie w obliczu ludzi; gdy więc uważasz dzisiaj za niegodną mnie twój serca, uwalniam cię! prędko mnie ujrzysz oddaloną od zgiełku zwo-
dniczych omamień świata, przywyknę do życia w samotności; i żyć będę lecz już nie dla świata; żyć będę gdy mi Bóg dozwoli mieć pociechę z zadatku błędu naszego: i snadniej, o! daleko snadniej mi będzie przeniesć tak okropne dla mnie przeznaczenie, niżli tę myśl, iż ja stałam się twego i mego szczęścia i spokojuości zniszczeniem! Rozważ więc Ryszardzie, póki czas

jeszcze; bo gdy przysiąg naszych powszechność stanie się świadkiem, gdy kapłan ręce nasze owiaże wiecznym węzłem, o! wtedy już będzie zapóźno!....

Długo Ryszard oparty o ścianę zdawał się być martwym, bez duszy, głazem: on cierpiał niecznośne bole i milczał. — Olimpio! odezwał się nakoniec zwolna z ciężkiem westchnieniem które świadczyło o jego męczarniach; Olimpio! o! gdyby w stanie było wypowiedzieć to serce, ileś mu ran teraz zadała. Weź, weź to serce, dodał po chwili z obłąkanym szaleńca rozpaczającym śmiechem; weź to serce, rwij je na części!... Tu zamilkł, i łez kilka spłynęło po dumnej mężczyzny twarzy. Olimpio! wykrzyknął znowu w zapale i uniesieniu, weź to serce! rwij je na części, wszystkie te części jednakowo będą się kochały, bo to będzie dziełem rąk Olimpii!

Ona siedziała ze spuszczoną i opartą głową na ręku jak na alabastrowej arkadzie; czasem odbłask życia, rumieniec wężykiem błyskawicy zmieniając uprzednią bladość, przebiegał po jej

lieu; oczy jej zapalały się jakimś fosforycznym ogniem, a w tej chwili twarz się wypogodziła i przystąpiła do Ryszarda.

— Przebacz mi luby, rzekła. Oplotła swemi rękami szyję lubego, a słowa dziękczynne, które już były na ustach Ryszarda, przytłumiła tak słodko palącym duszę jego pocałunkiem. Usiadła na kolanach kochanka, i długo tak mileżąca milczącego pieściła.

O miłości, miłości! ty piękny chłopczyku, pierwiosku myśli człowieka! w jakiejże krainie, w jakiej stronie, niemasz ciebie? gdzież nie słyhać twego płaczu i kołyszącej się piosenki? w którymże zwierciadle, nie widać twego obrazu? i któreż echo niepowtarza młodzieńczego twego szczebiotania? zawsze młody, zawsze kwitnący, latasz na skrzydłach Zefirka, wszędzie zajrzysz, wszystko wypatrzysz; i jasno widzący, wszystko znający, łowisz niedoświadczone w srebrne sieci ptaszki.

— Jedziesz więc luby Ryszardzie? przemówiła nakoniec Olimpia.

— Ach! jakżebym teraz nie chciał; rzekł tuląc ją do swych piersi.

— Ale to piękną w dzień moich imienin zrobicie siurpryzę; w dzień ten bowiem świat stanie się dla mnie łaskawszym, i pozwoli nie kryjąc się już, pieścić dowoli lubego niewdzięcznika.

Zbytek szczęścia i radości nie pozwolił Ryszardowi zdobyć się na odpowiedź; przemówił tylko po chwili: Olimpio! jakżeś piękną i dobrą; gdy na cię patrzę, o wszystkim zapominał, patrzeć tylko chciałbym; słuchać chciałbym dźwięku głosu anielskiego, oddychać twém tchnieniem.

Olimpia pieczotliwie musnęła swą drobną rączką po płonących Ryszarda policzkach, i uwolniła jego kolana z tak dlań drogiego ciężaru; Ilekko później skoczyła do okna, ujrzała leżący na wazonie bukiet, z dobranych złożony kwiatów i podaje go Ryszardowi. Wczora, rzecze, mamie nawiązanie dałam ten bukiet, przy wzięciu powiedziała mi, iż zawdzięczając w dzień moich imienin, piękniejszym dni Olimpii ukrasi.

Ryszardzie, ten obiecany piękniejszy bukiet co dni moje ma ukasić, czy nie w twojej to tylko widzę osobie?

On jój czulém za to podziękował wejrzeniem.

— O czémże to teraz myśliłeś, zapewne nie chcesz już jechać? może wyszlesz kogo?

— Nie, nie mogę, konieczność wymaga iżbym sam pojechał.

— Wyszlij kogo mój luby Ryszardzie! wydasz się albowiem dziwaczny niektórym osobom, iż mnie dzisiaj opuszczasz.

— Nie, nie mogę! a czyż mnie powinien posądzać o dziwactwo ten, kto wie że dopiero wczora mama zezwoliła na nasze połączenie się; i znowu wszystkim to oświadczyła gościom, że jutro, w dzień twoich imienin chce widzieć ciebie już moją żoną: a wszystkim także wiadomo iż bez niewyszłych zapowiedzi żadnym sposobem ślubów małżeńskich kapłan pobłogosławić nie może; więc potrzebném koniecznie jest pozwolenie pasterskie za którym wyjeżdżam.

— A czy też koniecznie sam powinieneś jechać?

poproś kogokolwiek bądź ze znajomych, lub przyjaciół, iżby pojechał za tém pozwoleniem.

— Ależ Olimpko, pozwól sobie powiedzieć, iż ja na nikim w tym interessie polegać nie chcę; bo wiem to doskonale, że prawa kanoniczne wyraźnie mówią: iż do zawarcia stanu małżeńskiego bez niewyszłych trzech ogłoszeń z parafialnej ambony, kto chce mieć osobne zwierzchności duchownej zezwolenie, winien ważne na to złożyć przyczyny; mam je, lecz nikomu tych powierzać nie chcę! ja samemu sobie nakazałem taić przed światem; dla mnie to jest wielką męką że widzę siebie przymuszonym odkryć to przed zwierzchnością duchowną; ja chcę iżby imię mojej Olimpii było tak czystém w oczach srogo sądzącego świata jak dusza anioła! Więc mnie takie powody kłonią do osobistego wyjazdu! a dla tego nikt potępiać, ale raczej wszyscy litować się powinni nad memi cierpieniami wynikającemi z opuszczenia acz na czas krótki tej którą ubóztwiam.

Olimpia usiadła obok Ryszarda na sofie, i

z dzieciinną naiwnością cicszyła się rozmyślaniem o dniu jutrzejszym.

— Jutro Ryszardzie, mówiła, o! ty nie pojmujesz jak szczęśliwą jestem, że mama pozwoliła odbyć ślub w kościele; czy wiesz? jeszcze gdy tylko poczuła się matką, ofiarowałam to dziecie opiekę Boga-rodzicy, co tak pięknie jest wystawiona w naszym kościele; kończę dzisiaj, chociaż nawet są goście, poduszczkę przed jej ołtarz, bym jutro własnych rąk lichą przynajmniej pracę mogła złożyć dla niej w podarku. Powiedz mój luby, jak potrafiłeś mamie przelożyć, iż otrzymałeś jej pozwolenie?

— Na ten raz skłamałem, bo któżby znowu dla ciebie na wszystko się nie odważył? Powiedziałem mamie, że dawno już przysiągłem Bogu, jeśli mama zaszczyci mnie ręką swej córki, iżby związek małżeński odbył się w kościele, w domu Bożym, a nie w mieszkaniu ludzi; niechciałbym więc poczynać nowe prawie życie ze złamaniem wykonanych przysiąg. Mamie podobala się moja taka arcy-wielka nabo-

żność, i niedługo ociągała się ze swoim zezwoleniem.

— Szkoda że jutro rano nie będziesz; po-
dług twego ubrałabym się gustu.

— To prawda luba, że wielką na ten raz
robię z siebie ofiarę; lecz ja ciągle przy tobie
w przyszłości znajdę nagrodę.

Takiemi rozmowami i wspomnieniami o przy-
jemnościach przyszłych, o słodkich dla nich
a niezadługo nastąpić mających imion rodziców,
o wychowaniu spodziewanego jeszcze potomka,
zajęci byli nasi kochankowie.

W tém weszła Dobrucka, i przerwała tak
słodką, a tak rzadką, w życiu kochanków sam
na sam schadzkę. Ryszard wstał, przystąpił
do niej z uszanowaniem i chciał się pożegnać.

— A cóż to? zapytała, czyż ja mam być
znaglonym przyspieszeniem twego wyjazdu, czyż
to moje przyście tak wam jest nieprzyjemnym?

— Nie mam, odpowiedział pomieszany
nieco Ryszard; czas uchodzący nagli mnie,
obym tylko mógł ją kiedy przekonać, ile jej
osoba jest dla mnie drogą i nader przyjemną.

— Zapomniałeś się, zapomniałeś! powiedziała śmiejąc się Dobrucka, zapomniałeś się szkaradnie Ryszardzie! wszak to mówisz do mnie! filut, powiedz raczej, ile dla ciebie Olimpia jest przyjemną i drogą, a nie ja?

Słodki ten żart Dobruckiej, okrasiał rumieńcem młode twarze, a wzrok ich który w tym spotkał się momencie, upewnił o prawdzie słów żartem wyrzeczonych.

— Spodzielam się Ryszardzie, rzekła Dobrucka, iż wszelkimi użyjesz sposobów żebyś otrzymał to, po co się w tę podróż wyprawujesz.

— Sądzę mamó, iż mi o tém nie trzeba przypominać, odpowiedział; niemożności w żadnym nie znam względzie; tém bardziej w rzeczy która tak wiele dla mnie stanowi; a dla tego abym zupełnie był pewny swego, więc sam osobiście wyjeżdżam.

— Niespóźniajże się tylko, mówiła Dobrucka; bo gdy już tak koniecznie uparliście się, iżby akt ślubny odbył się w kościele, więc lepiejby było zawczasu to ukończyć.

— Po krótkim namysleniu zapytał Ryszard:

czy nie zdałoby się, jak kościół po drodze, gdyby Olimpia z gronem przyjaciół, jutro o ósmej nieczekając mogła być w kościele; tamby mnie już zastali: raniej albowiem pomimo wszelkich moich usiłowań, niespodziewam się przyjechać.

Zgodziła się i na to Dobrucka; a dla Olimpii wszystko jedno było, wszystko uważała za święte co powiedział Ryszard.

Niezadługo pożegnawszy dobrą mamę i uściskawszy czule istotę, której wkrótce stanie się mężem, wyszedł; a przyodziany w ciepłą przez służalców odzież, niebawnie zniknął z tych miejsc, które tyle dlań drogiego w sobie mieściły.

Chociażby należało, nie będziemy jednak zaglądali do lewego pawillonu, gdzie dużo płci pięknej jeszcze wypoczywało; nie będziemy też opisywali, o której godzinie wstały, i wiele czasu zajęła ich teoleta; o której godzinie zebrało się całe już towarzystwo na śniadanie; czém raczyli później zabawiać się, w jakiej porze i jaki jedli obiad; jak później cały przepędzono wieczór, o której nakoniec dobie uwolniono dla spoczynku zmęczoną służbę; byłoby to bowiem

nadto długo, a jako rzeczy już mniej więcej znane, może w dodatku pokazałoby się i nudnem.

Dosyć powiedzieć, że Dobrucka była wesołą; Olimpia zawsze jednakowo piękną i jednakowo ujmującą, reszta zaś gości stosowała się do ich usposobień; całe dla tego towarzystwo wesoło i przyjemnie jak należy, ten wieczór przepędziło.

Dzień imienin Olimpji narodził się w nie pogodzie. Z wieczora jeszcze więcej astronomowie przy zachodzie słońca czytać poczęli ze świadomych im znaków nieba, i przepowiadać śnieg z wiatrem. Stało się jak przepowiadali: z północy jeszcze powstała silna walka zimowych żywiołów; powstała jak to u nas powszechnie nazywają zawierzucha, a która czulej kochance niemało trosk przyniesła względem lubego.

Dla reszty gości było wszystko jedno; wiatr silny z mrozem i śniegiem całą swą wściekłość wywierał na tych, którzy na otwartém powietrzu zostawać byli koniecznie przymuszeni; oni zaś pod gościnnym dachem Dobruckiej, w pysznych salonach, przy tém wszystkiém co duszę pieszczonemu człowiekowi na najwyższym szczeblu

stawia zadowolenia, aż u niebios kołowrota, spodziewali się dzisiaj pogodniej, weselej jak kiedykolwiek czas przepędzić.

O godzinie drugiej po południu, wszyscy już byli ubrani i zgromadzeni w sali bawialnej. Tam Olimpia w gronie osób płci swojej, odbierała życzenia i grzeczności w tym dniu jej należne.

Po czém w krótkim czasie dano znać iż obiad gotowy; wszyscy więc parami udali się do jadalnej.

Po obiedzie poczęło się już zmierzchać; mnóstwo powozów zajęchało przed ganek pałacowy, i weselna drużyna niebacząc na ogromną burzę robiła przygotowania do wyjazdu; jakoż niebawnie Olimpia odebrawszy błogosławieństwo matki, i życzenia przyjaźne obecnych obojga płci osób, wyruszyli wszyscy oświeceni mnóstwem katarń i kagańców do parafialnego kościoła.

IV.

Noc była ciemna, wietrzna, burzliwa, śnieżna i mroźna; noc w której całe obumarło przyrodzenie, i tylko wiatr śmiejąc się piekielnymy wydmuchy, niósł przed sobą, rzucał, znów podejmował i dalej pędził zmrożoną śnieżną kurzawę; czasem też roznosił wycie zgłodniałych wilków w odległych chwycone lasach. Noc w której natura tak zapaleczywie i silnie była uzbrojona i zakłócona, iż się wszystko zdawało zapowiadać rozstrojenie porządku świata.

W małym pokoju, oświetconym tylko słabym błyskiem kilku polanek dREW tlejących na kominku, siedział w należycie już podszarzanym

szlafroku, przy témże flejącém ognisku ksiądz nie bardzo stary, nie bardzo też i młody; włosy już siwowate, nisko podstrzyżone z tonsurą, czyli, jak mówią koroną na środku głowy, twarzy pociągłej, sucharlawej; oczy miał wlepione w otwarty brewiarz, który trzymał w rękę; kartki tej świętej księgi, od częstego snąc ich wartowania, znacznie na brzegach zbrudzone i wypłowiałe były. Bogobożny sługa ołtarza zanurzony w modlitwie, na nic niezwracając uwagi, odmawiał swoje pacierze pocichu; niekiedy zaś głos podnosił, co, od czasu do czasu przerywało głuche nocnej doby milczenie. Obok niedaleko na kufrze mocno okutym siedziała także nie bardzo stara, nie bardzo też i młoda, zapewne księdzowska siostrzenica, a może i gospodyni: przędła kądziel i milczała.

Ksiądz złożył brewiarz, z przyzwyczajenia powtórzył jeszcze prawie mechanicznie kilkakroć słowa z odmówionej modlitwy Pańskiej, i odezwał się do siedzącej obok przeciągłym głosem: stara, stara! zagrzój mi piwa.

Niewiém czy to imie było jego towarzyszki, lecz ta zruszyła się z kufra, wszakże nie bardzo śpiesznie, w niewielki garnuszek wylała z butelki piwo, przystawiła je do ogniska i znowu zasiadła do kądzieli.

Ksiądz tym czasem przysunął się bliżej do kominka, i podniecał ogień dmuchając pod garnuszek; zdaje się łąpczywie chwycił obiema dłońmi ciepło i parę ognia; nagrzaane dłonie rozcierał i znowu ociepiał. Niezadługo ożywione ruchem powietrza ognisko, ogrzało aż do zawarzenia przystawione doń w garnuszkach piwo.

Ksiądz widząc niechoąc już być natrętem dla przedki, wstał z pontyfikalnie odartego krzesła, odemknął szafkę, wziął dwie szklanki, napenił te zawarzoną piwem i jedną podał mileżącej, a z drugiej często mieszając łyżeczką, sam popijał.

Przed mieszkaniem jego dał się słyszeć turkot

powozów, potem głośne przerywane burzą rozmowy, wreszcie zakłątano do drzwi mieszkania.

Gospodyni na to hasło podniosła się i poszła w stronę w której proszono o odemknięcie, mówiąc zcicha: to zapewne do chrztu.

Ksiądz jednym haustem wychylił gorący napój i odrzekł nie; muszą to bydź do ślubu: zrzucił prędko szlafrok, zdjął z szaragów sutanę i tylko co począł ubierać stosownie do swojego duchownego powołania, wnet wtoczyło się kilku mężczyzn obwiniętych w ciężkie, oprószone śniegiem futra.

Jeden z przybyszów ozwał się rubasznym tonem: — Przepraszamy cię księżo że tak nocną napadamy porą!

Ksiądz niskiemi ukłonami począł witać przychodniów, a ochoczym i razem pokornym głosem powtórzył kilkakroć: to nic, to nic, to nic, odchrząknął i przemówił: bez subjekeyi panowie,

bez żadnej dla siebie subjekeyi, jak w domu własnym, proszę bardzo, proszę bez subjekeyi.

— Proś, i nie proś księżę, odezwał się znowu jeden, a my dalibóg taki bez subjekeyi dla siebie będziemy nierozdziewając się siedzieć: potężnie coś wiatery szybuje po twojej chacie!

Jak w czém kto przyszedł, tak kaźden i usiadł, a śmiech pusty rozpogadzał im twarze gdy z księdza oczy przenosili na siebie.

— Powiedz księżę komendarzu? zapytał tenże co i pierwój, o której porze Staroście wczora był u ciebie? i czy długo bawił?

— Zaraz po południu, odpowiedział zapytany, po południu zaraz; odechrząknął razy kilka; tylko nie wiem o której godzinie; po południu zaraz, nié mam zegarka, bo to mówią do zegarków trzeba folwarków, ale zaraz po południu.

— A czy nagrodził z góry trudy sakramentalne, które, zapewne musiał dla pobłogosławienia jego ślubóm małżeńskim wczesnie zamówić?

— O! nagrodził, zaspokoił; odpowiedział ojciec duchowny; ale czyż o to tylko chodzi?

— Nie gadaj, nie gadaj księżę, mówił żartując piérwszy, kapitaliki lubicie zbiérać.

— Historye! historye, mówił ksiądz z przymuszonym uśmiechem, wzięwszy się lewą ręką za bok niby to od serdecznego śmiechu; historye! pan Cześnik żartuje, sobie żartuje; historye, mech zdrów żartuje, historye!

— Ale nie historye, odrzekł nazwany księdzem Cześnik, kpisz księżę ze świata i basta; przecież słyszeliśmy że chcesz wieś kupować.

— Historye! historye, co też pan Cześnik mówi; gdzie mnie do wsi; ot dobrze że człowiek przynajmniej chleba kawałka nie prosi, nie prosi.

Cześnik z towarzyszami począł rozmawiać po łacinie śmiejąc się i dziwiąc księżemu skępstwu, nędznemu jego pomieszkaniu i chciwości; ksiądz nie rozumiał tego języka, i nie pojmował że jest przedmiotem ich rozmowy; ciągle dla tego ze śmiejącą się i pokorną twarzą niby zaambarasowany, chodził do jednego i drugiego

pokoju, i ciągnął półgłosem swoje historye, co dopiero przybyłym stawało się nowym do śmiechu powodem.

— Jakżeż wasz pleban czy zdrów? zapytał znowu Cześnik.

— Zdrów stary, ale ciągle siedzi w Kamieńcu; pomocy żadnej z niego nie mam, a pracy tyle, że ledwie człowiek sam podolać może.

— Za to i dochody masz większe; lepiej dla ciebie. Jednak powiadają że ten poceziwy plebanisko goły jak turecki święty; a ksiądz przecież będziesz już prędko dziedzicem.

— Historye! historye, co też pan Czesznik gada, historye, żartuje sobie, żartuje, historye!

— Która godzina, obacz panie Podkomorzy, zapytał Cześnik jednego z towarzyszków.

— Już ósma dochodzi, odrzekł zapytany, patrząc na zegarek: ale cóż to znaczy że Ryszarda niema?

— Ależ bo niespodziana zawieja; odpowie-

dział inny, my jedną milę a więcej godziny jechaliśmy; dosyć już kiedy i u księdza tak zimno, dodał z uśmiechem.

— Czemu księżę nie palisz dobrze w piecu u siebie? zapytał znowu Cześnik, a to tak zimno że pieshy urwał się.

— Już przyzwyczało się do tego cokolwiek, odpowiedział zapytany, a czy to jedna tylko bięda; ot i nieurodzaj w tym roku, zupełnie nięma czym chudobę karmić.

— Do lichaż bo, pod drwa nie orzesz, i tych nie siejesz; kollator zaś pozwala ze swego lasu wiele potrzeba; a to strach jak zimno!

— Może panowie zechcą ogrzać się piwkiem?

— O! nie; dziękujemy ci, księżę, dziękujemy! odrzekli wszyscy goście jednogłośnie.

— To może wódki? dobra, hanyżówka?

— Nie, nie; dziękujemy ci bardzo.

Tu znowu Cześnik z towarzyszami poczęli mówić po łacinie; a ksiądz znowu swoim zwyczajem powtarzał ostatnie słowa hanyżówka, hanyżówka.

— Tak, tak, hanyżówka! podchwycił Cześnik prostując nogi z niewygodnego siedzenia na starożytnego kroju kanapie, i zawadził nogą, o leżące na ziemi ciele i kilkoro prosiąt, które wnet pozrywały się: a to co? czy to menażeryę chowasz u siebie! krzyknął niby przestraszony.

— A, to moje całe gospodarstwo; odpowiedział ksiądz, liche gospodarstwo, tak na dworze zimno, a dobrego trzodka zawodu, chciałbym się czegoś dochować.

Sam tedy wziął oburącz ciele, wyniosł do drugiej, zapewne sypialnej izdebki; po czém, wróciwszy, kolejną przetransportował takimże sposobem i prosięta, powtarzając swoim zwyczajem ostatnie słowa, czegoś dochować, czegoś dochować.

Gdy się to dzieje w mieszkaniu księdza, na dworze dał się słyszeć turkot powozów. Goście powstawali mówiąc: to zapewne Ryszard. Dwóch wyszło, i wróciwszy się donieśli że to były kobiety. Poczeli się więc naradzać, gdzie też mają

czekać wszyscy na Ryszarda; czy w mieszkaniu księdza, czy w kościele: jednogłośnie tedy uradzono, iż niechcąc przysłużyć się płci pięknej katarem, nieodzownie nastąpić mającym z duszącej atmosfery księżych pokojów, lepiej będzie czas jakiś zaczekać w kościele, mało co chłodniejszym od księżych apartamentów. Obrócili się więc z prośbami do księdza komendarza i prosili, ażeby raczył kościół im otworzyć.

Niedługo usłużny i pokorny kapłan dał się prosić; wnet otulił się ciepłą kasztanią szubą, zdjął z kolka, przy drzwiach wiszące klucze, wyniósł z zapaloną już świecą z drugiego pokoju latarnię, i poszedł w towarzystwie wesółych gości.

Kościół był niedaleką, prędko więc doszli; komendarz odsunął rygiel, odemknął zamek, nie tak wszakże mocny jak u jego kufra, wpuścił przybyłych; zapalił jedną lampę, a na prośby gości jeszcze i świec kilka, i zadzwonił

w sygnaturkę. Dzwonek przemarzył jęcząc przytłumionym dźwiękiem, nieprędko przywołał organistę i kilku dziadów kościelnych.

Olimpia uklękła przy ołtarzu Boga-rodzicy, u którego własnoręcznej roboty poduszczkę złożyła w ofierzę; obecni zaś niecierpliwili się tak długim na Starościca oczekiwaniem.

Ci którzy chcą dobić się rozumem do tego, co to jest człowiek? kto on taki? co on znaczy na ziemi? co on znaczy jako stworzenie bozkie? i na co on stworzony? są śmiesznymi filozofami..... Dziwny człowiek! W noc miesięczną, gdy rokoszny przezroczysty półcień obwija piękność dziewczęią spiącej ziemi; gdy cichy, srebrny świat wypoczywa przejrzystą mgłą na spokojnej jój piersi; gdy wieczorny Zefir, jak bojaźliwy kochanek, zakrada się po gajach, i szepcze niepojętym językiem, lub w dźwiękach harmonicznych uroczone wydaje tony, unoszące myśl do błogich, rajskich przybytków, gdzie szczęście niezmiennie przebywa; gdy przywołuje

swą miłą, gadatliwą kochankę rzeczulkę, i kołysze się w modrawej kolebce źródła, upowitego różami i zielonością: człowiek boi się wtenczas wyjść z domu, lęka się na własną nastąpić cień, zabobonnie żegna drzwi i okna, kryje się przed samym sobą, żeby nie przebudzić w duszy jakiej myśli, coby rozpałała jego wyobraźnia. A teraz, w noc tak straszną, noc dzika! jak czarne duchy błądzą po grobach, po szczątkach swych przyjaciół, i czegoż? oto, żeby młode dwie wolne, swobodne dusze spętać ciężkimi kajdanami niewoli; żeby okuć ich ręce w hartowne i niezém niespożyte żelaza; których świat jak swą zdobycz jaki łakomeca skwapliwie pochwyti w swe dłonie, i będzie napawał; czémże? szczęściem, wesłem? O nie! on tak skapy w te dary, on rad każdego hojnie trapić smutkami!

Burza silniej miotać poczęła śniegiem, dach kościelny zdawał się chwiać z łoskotem, a ciemność ani na krok nie dozwalała cós widzieć przed sobą; mnóstwo latarń i kagańców

przy powozach, miguło tylko, jak gwiazdy, kiedy słońce, to oko świata wstaje, umywa się, i otrząsa młode ze snu powieki.

Czwórka nakoniec zjajanych nieboraków, zawinęła przed kościół, ciągnąc za sobą sanie, jako bałwan ze śniegu; prędko jednak wydobyli się podróżni, przy pomocy wyszłych z kościoła panów i będących tuż służalców.

— Ależ burza, zawierzucha! wiatr kości dojmuje! przemówił jeden z przyjezdnych.

— Na cóż było tak opóźniać się? zapytali niektórzy, już blisko godziny czekamy na ciebie!

— A ja więcej już godziny walczę z tak przeklętym żywiołem! ozwał się przejezdny rozpatrując otaczających go.

— Chodź już, chodź, zawołał Cześnik, Olimpia i my wszyscy z twojej przyczyny przesięliśmy zupełnie.

Poszli tedy do kościoła, i żeby nie tracić drogiego dla zabaw, a tak marnie na mrozie uchodzącego czasu, prowadzili Ryszarda przed

oltarz, przy którym ksiądz w ogromnej delii głowę tylko jako puszczyk wystawiwszy, a przy nim u stopni ołtarza kilka par mężczyzn i kobiet, poobwijanych także w ciepłe futra czekali.

Ksiądz zapytał o Indult, lecz usłudni, i niecierpliwi prędkiego końca koledzy nie pozwolili ciekawemu długo rozprawiać, nie ma czasu, mówili; zimno piecze, później obaczysz i przeczytasz gdy tylko będziesz miał ochotę!

Prędko więc przystąpiono do tego świętego aktu ślubnego, prędko zostały wymówione te straszne słowa przysięgi, jakkolwiek bądź związane im były ręce; po czém wszyscy śpiesznie opuścili oltarz, przy którym zostało się to, co jest tak miłym dla młodzieńczych lat człowieka swoboda i pokój.....

Gdy już wychodzili z kościoła, Olimpia troskliwie przemówiła do małżonka: — Ryszardzie! czegożeś tak milczący, zapewne przeziebłeś?

— Nie; odpowiedział, nie przeziębłem, a sparzyłem się.

— Cóż ci jest? zapytała znowu trwożliwie, czyś chory? głos twój tak znacznie zmienił się.

— Mój głos zwyczajny; odrzekł zapytany, któż to jest ten Ryszard, za którego mnie masz?

W tymże samym czasie, przy kościele głośne słychać sprzeczki — jakieszamieszanie, i często dolatuje szorstki, bujny dźwięk mowy ukraińskiej: kilku mężczyzn wpadają do kościoła, przypatrują się bliżej będącemu przy Olimpi, i niestety! nie był to Ryszard — to był Wacław Norsztyn.

Dwa nieszczęścia, noc burzliwa, i dziwny charakter Wacława, przyjaźnie podały sobie ręce, głucho zajrzeli jedno drugiemu w oczy, objęli się, pocałowali się i usiedli za stół małżeński — wieczerza gotowa.....

Ten błąd, był to silny piorun; wleciał w serce Olimpi i strzaskał; a wszystkich przy niej będących okopcił i ogłuszył. Padła nieszczę-

śliwa ofiara bez życia na zimną kościolą podłogę, i nikt ją nie śmiał jeszcze ratować, gdy wbiegł Ryszard, wściekłym wzrokiem spójrział po wszystkich, i rzucił się ku nieszczęśliwej kochance. On chciał ją jeszcze do życia przywołać. W rozpaczycy wyciągał ręce ku niebu, cichym głosem wołał nieszczęśliwą po imieniu, tarł jej głowę, całował usta i tchem swoim chciał ją ożywić; lecz wszystkie jego usiłowania były nadaremne: nieruchoma, jak kamień na którym leżała, Olimpia! co tak wiele obiecywała sobie szczęścia. . . . Moc jej duszy przytłoczona była teraz przyjaźnie złączonemi wielu cierpień ciężarem, jakby dla tego, żeby z korzeniem wyrwać ten kwiatek co wart był innego losu.

Wielkie były cierpienia Ryszarda, on patrzył na tę, którą tak lubił, i widział ją odartą ze wszystkich przyjemności nierozłącznych towarzyszków życia; z pięknego jej lica zniknął ostatni rumieniec.

Po wielkich nakoniec usiłowaniach, i staraniach wszystkich przy niej będących, podniosła

—Czegoż chcecie?! wołała — Czegoż chcecie ode mnie? Zostawcie mnie z mamą! Zbójcy! miejcie litość! pozwólcie mi umrzeć przy niej! Barbarzyńcy! dla większych jeszcze zostawić mnie chcecie cierpień! O! matko! za cóż mnie porzucasz? O! Boże! dla czegoż nas rozłączasz?

We trzy dni potem, w parafialnym kościele, według życzenia zmarłej oddawano jej zwłokom ostatnią chrześcijańską posługę. Pogrzeb był skromny; towarzyszyło do grobu kilku przyjaciół sąsiadów, przyjaźni domownicy, i lubiące ją kmiotki, na lieu których łza boleści oznaczała głęboki żal po tej która już na zawsze dla nich straconą — szczery płacz był muzyką pogrzebową.

Przed kościołem stanęli podróżni; jeden z nich wszedł do kościoła, i pyta dziada stojącego u progu: — Kto umarł?

— Nasza pani; odpowiedział żebrak.

— Jakże się nazywała wasza pani?

— Pani Dobrucka, dobra pani, niech jej wieczny pokój świeci. Kilka tygodni temu, dalej

ciągnął żebrak, jej córka miała iść za mąż za pana Starościca; ot tu, w tym kościele, miał już ślub być; lecz pan Starościec nie pospieszył, a nawinął się jakiś szatan co wionął ślepotą na księdza proboszcza, panienkę, i tych wszystkich którzy byli z nią przyjechali: ksiądz tymczasem pobłogosławił go z panienką jako prawdziwego Starościca; oby go tylko Pan Bóg skarał! Od tego dnia samo nieszczęście w tym domu; pana Starościca w kilka dni po tym wypadku zabił gdzieś tam pod Kamieńcem w pojedynku; samą panię ot chowamy, a mówią coś że i córka prędko już pójdzie tą samą drogą na wieczne odpocznienie.....

Każde słowo żebraka było dla Wacława śmiertelną trucizną; oparty na filarze, patrzył na ten pogrzebowy kondukt, i zdawał się także już do martwych należeć.

Przykro, niecznośnie jest biesiadować z umarłym po północy w zaryglowanym sklepie, w którym los żyjących jeszcze przyjaciół na wieczne skazał więzienie; i gdy do tego żyjącego, nieszczęśliwego więźnia wkradnie się

przez szczeliny pomału pełznącego po ciemnym błękitcie księżycy promień. Okropnie patrzeć na białą już twarz trupa, i myśleć: tu niegdyś rozkwitały usta śmiejące się dla nas, usta które nas darzyły wyrazami przyjaźni; okropnie patrzeć na dziury, w których niegdyś gościły oczy, dwie lampy karmiące się ogniem uczuć naszych; smutno patrzeć gdy ten nicodstępny, słodki, wierny przyjaciel, towarzysz, pomocnik życia, zawarł już dla nas te oczy: gdy ten trup jest nierozłączny, obléwa zimnym tehem grobowym, mrozi złodowaciałemi objęciami; straszno jest patrzeć, jak krążą zguilizną wywołane mgliste obrazy przeszłości, myśli — okruszyny wiececzy balowej, migające błyskawice zgasłych nadziei, pióra z błękitnego skrzydła marzeń młodzieńczych, porwane burzą, i rozwiane po polu życia zasianego cierniem: słyszeć jak trupie kości wybijają takt miotanemu gwałtownie sercu, i nucą głuchą piosnkę grobową; *wszystko skończono!* Ale dla Wacława, ten widok był jeszcze okropniejszym! czuł on cały ciężar zdziałanego przez siebie nieszczęścia, czuł męczarnie

Olimpii, czuł żalobę i smutek przyjaciół, a ulżyć im, i powrócić błogiej przeszłości już nie było w jego możności.

Gdy kapłan zaintonował ostanie od nas umarłym należące słowa: *Requiescant in pace*; przebudził się Wacław, skoczył do sanek, i konie uniosły go prędko z tego miejsca, w którym zostawił płacz, przekleństwo i smutek.

Dla Olimpii dni i nocy wlekły się zwolna; a każdy dzień, każda noc pograżały coraz głębiej sztylet boleści w jej zakrwawioném sercu. Ziściła się ta przepowiednia w czasie odjazdu Ryszarda w wigilię jój imienia; ona mu rzekła: „Oddalę się od świata, od zwodniczych mamon jego; pobratam się z samotnością, żyć będę, lecz już nie dla świata.“ — Nieszczęsna! gdy to mówiła, nie przeczuwała jeszcze cierpień ciężaru jaki nań spaść może.

We dwa miesiące po śmierci matki powiła syna; żądaniem jej było iżby miał imie ojca. Lecz i ten młody potomek, ta droga pamiątka jój sercu, o szczęśliwych, a jak sen znikniętych

czasów miłości, niepotrafiła w skołataney duszy przywrócić pokoju.

Nastala wiosna, Olimpia nie miała cieszyć się tą porą roku, tym tehem młodzieńczym bogatej natury.

W jedną noc gdy stary już księżyc rokosznie unosił się nad jej ogrodem, gdy gwiazdy kryjące się dzień cały gdzieś za świata końcem zwolna powystawały, gdy spokojny chleborób nucił wieczorną piosnkę, echo ją powtarzało, rozdrabiało w dźwięczne tony w martwém przyrodzeniu, gdy śmiech wesoly, myślą najczystsza zrodzony, myślą wieśniaka, brzmiał mile w powietrzu, jakby wtór piosnce czasem swawolnie nuconej, a usłużny wietrzyk rozlewał po błoniach w przepękle świeżo kwiatów kielichy te brzmienia, złożone z odcieniów dusz szezśliwych pokojem; gdy wszystko jakąś niepojętą słodyczą oddychało, co upaja zmysły śmiertelnika i do snu kołysze spokojnego; Olimpia jedna, gdy już nikt w całym nie czuwał domu, wziawszy spiące dziecko wyszła do ogrodu.

O! dla was te nocy! dla was kochankowie!

dla was poeci! dla was świeci księżyc, śpiewa zefir! dla was natura zrzuca osłonę, i pozwala patrzeć na niewyczerpane bogactwa skrytości swojej. Zostawcie resztę ludzi! zostawcie tych niewolników wiecznych, nieskończonych żądź, niech brzęczą łańcuchami przy dzienném świetle, by ich łańcuchy widniejszemi dlań były: zostawcie ich! zostawcie te mrówki, niech usypują mrówisko, niech lepia litości godne klatki, by mogli skryć się później, by mogli zasłonić siebie przed dziewięcią pięknosciami natury, której się wstydzą, chociaż ona nie wstydzi się pokazywać naga. Idźcie patrzeć na księżyc, pijcie zeń myśli o kraju lepszym, dla ocz prostego śmiertelnika niedostępnym. Idźcie biesiadować z krzyżem co rośnie na mogile, na brzeg rzeki, pod skromną brzozę: uwieńczcie głowy cyprysem, i jak grabarze w północ na cmentarzu, bawcie się trupią czaszką; wy umiécie czytać na tych głębokie hieroglify czasów minionych. Dla was to kochankowie i poeci ta noc! dla was to natura zrzuca kryjące jój urodę zasłony, i pozwala patrzeć na dziewięcią swą pięknosc.

Olimpia weszła do tak nazwanego gaju wesela, usiadła na darni, w gęstwinie drzew umieszczonej, i tuląc spiące do piersi dziecko, patrzyła jak na zachodzie jeszcze czerwona barwa przeobrażała się w ciemną mgłę. — Tak właśnie jak jej życie skłaniało się ku grobowej pomroce.

— Wszystko już skończone! rzekła, wszystko skończone!.....

— Zdjęła z palca pierścień dany jej przez Ryszarda w czasach szczęśliwych.

— Pierścionek, rzekła pocichu, żywy zadatek! O! tak, ja w tobie widzę zawsze jego, i nikt mi nie wydrze cię! obrączka miłości i płaczu..... Ach! on! on w cudownym śnie, on w tę noc przychodził do mnie, i mówił: porzuć ziemię! w miłości jest coś świętego! jej nie ma końca — i tam ja twój!..... Nie! o nie! to nie był sen.....

Mętny jej wzrok szukał niebios przez gęste gałęzie; w tym promień księżyca padł na twarz dziecięcia: Olimpia spójrzała gdzie się odbijał, i po tym promieniu posłała oko do tej gwiazdy.

co tak świeciła jak radość młodego serca. Patrzyła długo, milcząca. Promień znowu ukrył się, a wzrok jej jeszcze szukał czegoś. Tu zdawało się jej widzieć cień Ryszarda.

— Ach! tak, to on! krzyknęła, to on! Ryszard.

Kłękła przed tém złudzeniem, i pokazuje dziecie.

— Kochanku! woła, mężu drogi, błogosław swego syna! — albo — nie! weź nas z sobą — O! luby, uciekłeś! uciekłeś! i ja znów sama zostanę!

Ciężko westchnęła, ucałowała pierścionek i rozpuszczonemi włosy łązy ocierała.

— I czegoż płaczę? po chwili mileżenia rzekła, łzami powitałam życia tajemnicę i łzamiż mam te zakończyć? czyż mam jeszcze śród cieniów nocy, śród tego rozkwitającego przyrodzenia, gdzie wszystko oddycha szeptem, łzami każdą piękność, każde czucie głosić naturze? Czyż koniecznie już tak być musi, by każdy krok mój łzami był oznaczony? Czyż nigdy na méj twarzy niezabłyśnie już uśmiech?

czyż nieczyje oko nie zasieje na mém czole radości? czyż mi tylko jedna litość należy od świata? czyż tylko sam smutek od przyjaciół? Lecz te lzy! — tak, one nie należą już do świata, i muszą być oświecone wejrzeniem nieba. Ty lubo nocy pochodnio! musisz być ciągle na straży przy nieszczęśliwych, drżącym promieniem te lzy z ocz wynosisz i dla tegoś pewnie tak smutna i tak miła.

O! jak jój biédnej biło serce, w jakichże ona niegubiła się myślach; lecz choć cierpieniami umęczona, choć oczy łez pełne, a jakieś zadowolnie widać na jój twarzy. Jój się wszystko teraz zdaje, że jest z nią luby po dawnemu; że wszystko tehnie jeszcze dla niój po dawnemu; przy każdém drzewie, zdawało się jój widzieć to, czego już niéma, co straconém dla niój; to wszystko czém rozkwitało serce, a co zginęło już bez nadziei powrótu.

Później długo znowu smutna patrzyła na dziećcie spiące, zadrżała; po bładych policzkach lzy się hojnie potoczyły, i spadały na twarz dziećcięcia: ona je do piersi miotanych burza

wspomnień jeszcze raz przycisnęła, i bojaźliwie obéjrzała się.

— Długoż mi, rzekła, przyjdzie jeszcze wlec życie w tak srogich męczarniach.

Wzrok swój zatopiła w spokojne dziecię i macierzyński pocalunkiem budzi śpiące.

— O! gdybyś wiedział! zawołała, jak twoja matka nieszczęśliwa!

Ona oddycha jednym tylko przedmiotem, a ten wiecznie dla niéj stracony; przedmiotem tak solennie przyrzeczonym od świata. Myśl ta zatrutym ogniem w poklute spieczone już serce wionie; pali je; to znowu mrozem martwością grobową oblewa. Oparła się o drzewo, zwiesiła na piersi swę głowę, i na chwilę tak półmartwym stanie dusza jej z cierpień się oswobodziła.

Tymczasem słabo już widny na tle niebios błady xiężyc, ostatniemi promieńmi pośrebrzał starożytne brzozy tak spokojnie drzémiące. Czasami tylko swawolny zefir dotykał się płóchými usty zaspanych listeczków, i ranną obudzanych rosą, słyhać było głos skrzydlatych

śpiewaków. Tam przepiórka łęklwym miłym głosem przyzywa kochanka; indziej gdzieś czajka krzykliwa w powietrzu zawisnie, tam gdzieś w oddali gęsi zagegocą, i kuliki, wędrując w kraj daleki, w przelocie pożegnalną piosnkę śpiewają; a na spokojnym czarno-lazurowym łonie ogrodowej sadzawki, kaczka dzika pluśnie, albo rybka wyskoczy, i nurtując w wodzie, spokojność jej zakłóci, bo wietrzyk nie śmie tknąć szaty drogo tkanej złotemi gwiazdami; tam gdzieś ozwie się razem żórawiów gromada. Zwolna ten chor melodyjny zda się już ustaje, zwolna znów się podnosi, i wspaniale płynie gdzieś daleko, daleko, ociera się o gwiazdy, w gwiazdach tonie. Już pomalu błednieje, z za gór miodoborskich modrawa szata nocy na gwiazdzistym łęku, a Olimpia z zakrwawionym sercem, błada jak kamień grobowy, oparta o drzewo zdaje się być twardo uspioną. Dziećcie chłodem poranku przebudzone upada z kolan, i przerywa nieszczęśliwej sen tak dlań drogi. Podniosła ten luby miłości upominek, pamiątkę szczęścia, i zoczyła szkarlatną pręgę, zwia-

stunkę poranku, co się rozlała po niebie, jak róża po twarzy pięknej dziewicy, gdy młodzian, kibić nadobną, po raz pierwszy w swém objęciu otuli, i ściśnie ją zuchwale, a piersi trwożnemi wionie jęj w lice tchnienie w płucach wulkana karmione.

—O! gdybyś, przemówiła scicha, piękny dniu, co tylko mnie jednęj nie przyświecasz, rozpędził, na czas krótki przynajmniej te fale ciemnych marzeń, jak rozpędzasz cienie nocy czarnej! Dla czegoż wlewając wszystkim twóróm przyrodzenia życie i osłodę; dla mnie jednęj wymyślasz coraz nowszy rodzaj udręczeń, coraz nowszą truciznę? — Już też siły moje zupełnie się wyczerpały; mniemam, że nie mi już od świata nie należy, prócz oddechu grobowego. Krew mrozem zwarzona wszystkie oziębła żyły; jakiś dreszcz członki przeszywa: wspaniała noc, wspaniała natura, i ten cichy księżyc! — on ma coś w sobie uroczego, i zdaje się że nie dla oka, ale dla duszy zsyła promienie; bo wśród uspokojonych zmysłów, pod tą milezącą gwiazdą nocy, dusza jako kwiat otwiera się naturze,

— O Boże! rzekła po chwili milczenia, kiedyż Cię poruszę? kiedyż litość Twoja błysnie nad nieszczęśliwą?

Na licu jęj zajaśniał promień poranka; wzrok zapalił się spokojnym płomieniem podobnym do blasku pochodni, co zwieszona nad grobem umarłego walczy z promieniami słonecznymi; ucałowała uspione dziecię; jakieś mroźne wzdrygnięcie się przeleciało po delikatnych żyłkach twarzy, oparła się o drzewo, ciężkie westchnienie wyleciało z jęj piersi, — i usnęła.

Tentent konia przebudził dźwięczne echo ogrodu. Ciężko jęczała ziemia pod kopytami rumaka niewidzialnego jezdca; za minut kilka, przez rzadsze gałęzie, widać już było jak koń rozdawszy nozdrze, z wyciągniętą szyją, prosto pędził ku tęg zarośli, gdzie Olimpia spała.

Smagława, dzika twarz najezdніка, oznaczała bezpieczną wesołość; niewielkie krępe plecy, okrywała burka; strzelba przewieszona przez prawe ramie, dwa pistolety i kinżał uzupełniały uzbrojenie.

U altany przy sadzawce wstrzymał się w peł-

nym biegu, nawiązał rumaka, i niecierpliwą nogą ubodł go mocno: ten spał się w górę, a w tym momencie jeździec zoczył Olimpię z dziecięciem na kolanach. Wstrzymał konia, patrzył czas jakiś, oglądał się na wszystkie strony, lekko z siedzenia zeskoczył, przystąpił bliżej do Olimpii; obejrzał ją, i rzekł z uśmiechem. —Wszakci ona martwa! są dziwy na świecie: umarli hawią się małymi dziećmi.

—Ha! zupełnie bezwładna! przemówił dotknawszy się jej ręką; uważam nie jest ci potrzebna ta zabawka.

Pomyślał trochę, znowu się pilnie oglądał, wyjął z pod zlodowaciałych rąk Olimpii małego Ryszarda, dosiadł bieguna, i pędem błyskawicy uleciał.

Słońce już wstało, i wysoko podniosło się z swą lazurową kąpieli; a w pokoju Olimpii wszystko było cicho i spokojnie; słychać tylko lekki ruch na dworze wstającej służby, i dolatują głośno wymawiane słowa.

„Bogiem swój żywot mając obciążony,
Puszcza się Pauna sama w górne strony,

Elżbieta syna w żywocie swym czuje,

Gdy wyskakuje.⁶⁶ Ojciec nasz któryś jest w niebie i t. d. Rządczyni domu Gdziurzalska mówiąc sobie w głos rożaniec, otwiera nakoniec pomału drzwi do pokoju Olimpii, a widząc próżne łóżko i kolebkę, budzi przy kolebce spiącą niańkę, i pyta gdzie jest pani?

— Ja nie wiem; odezwała się zaspana dziewczyna, musiała wyjść do ogrodu.

— A czegoż stoisz jeszcze? czemu nie idziesz? Ale to do niczego dziewczyna! Ruszaj spiochu! Pani sama wyszła i nie słyszeć jęć, jak dziecko wyjęte z kolebki. I uderzyła niańkę po plecach pękiem kluczy, którymi ciągle dzwoniła. — O jakiż to darmojad! dalej ciągnęła Gdziurzalska, nie nie robić tylko jeść, spać, ubierać się, do karczmy, i z chłopcami. O! muszę powiedzieć pani, że czas już ciebie przepędzić.

Dziewczyna już wybiegła do ogrodu, a Gdziurzalska jeszcze krzyczy.—Ale to dziewczysko do niczego! ja dobrze powiadam, że tylko jeść, spać, ubierać się, do karczmy, i z chło-

pcami hajda przewracać się. — I nie wódź nas na pokuszenie ale nas zbaw ode złego amen. Zdrowaś Marya i t. d.

Gdziurzalska ciągnąc głośno dalej różaniec, i dzwoniąc pobudkę pękiem kluczów w ręce jednej, a w drugiej paciorkami ozdobionemi dwoma medalikami, małym srebrnym krzyżykiem, i dużym drewnianym przywiezionym przez kogoś tam z Rzymu, bardzo już dawno; w którym zawarty jest kawałeczek drzewa krzyżowego, poszła budzić resztę dziewcząt i służalców jój powierzonych dozorowi.

Za kilka minut powróciła niańka i znajduje Gdziurzalską już w kuchni dzwoniącą i wrzeszczącą.

— A czegożeś przyszła hultaju? zawołała z góry na dziewczynę stojącą u progu.

— Oj! Imość, odpowiedziała, nieśmiało zapytana; pani w gaju wesela siedzi na darcinie, ale dziecięcia niema przy sobie.

— A cóż pani mówiła?

— Ja nie pytałam się, ja boję się pani powiedzieć. — Może to Imość naumyślnie prze-

demną schowała, dodała później tonem proszącym.

— Ach ty błaznico! krzyknęła Gdziurzałska; a nacóż ja miałabym chować? nu, proszę? a co, ja nie mówiłam. — A cóż pani robi?

— Nic, siedzi.

Rządczyni poszła sama do ogrodu ciągnąc dalej głośno swoim zwyczajem: Panie wysłuchaj modlitwy moje, a głos mój niech przyjdzie do ciebie! — Czy pani spi? zapytała zbliżywszy się do gaju wesela. Niech pani idzie do pokoju, taki chłodny ranek! czy pani niema z sobą dziecięcia?..... Nakoniec ze strachem już przystępuje bliżej i dotknęła się martwój; po czém wykrzykując: Jezu Chryste! święty Antoni! święta Barbaro! pobiegła do dworu.

— Héj wy śpiochy! zawołała z płaczem przestraszona Gdziurzałska; do ogrodu! do ogrodu, prędzój! pani umiera! już umarła!

W momencie okrażona dworzanami, wróciła do gaju wesela.

— Tu! tu! trzyjcie! wrzeszczała; wody

zimnej, prędczej! spirytusu! otoż to, a ja nie mówiłam?

Nacierano, wyciągano, pryskano, moczono, ogrzewano — ale to wszystko nie nie pomagało.

— Puszczajcie krwi jeszcze! prędczej, prędczej!

— Ależ bo pani Gdziurzalska niewiedzieć co gada! odrzekł stary Andrzej furman co dopiero przyszedł; zkadże to krwi upuścić? ona już dawno nie żywa: o!.....

Nachylił się i chciał podnieść rękę umarłej, lecz uczuł bezwładną i prawie zupełnie zdrętwiałą.

— O! mówił, chyba to pani Gdziurzalskiej potrzeba krwi upuścić. Czy można tak słabiej samej pozwalać do ogrodu?

— Po doktora! po doktora! prędczej! dobrzeżem sobie przypomniła, po doktora Andrzeju!

— A idźże sobie Jójmość do stu par biczów! komu doktora? czy Jójmość ślepa? tu doktor to samo co i kaźden z nas robi; a ja nie mam ochoty teraz dla Jójmości jeździć po doktora!..... Otożto, mówił furman z żalem, czym się ja

stary spodziewał kiedy, nosząc cię jeszcze małym dziecięciem przeżyć? Nie męczcie ją już! nie męczcie! dodał, wymęczona ona już i bez was, za życia do woli. Macieju, rzekł obróciwszy się do kucharza, weźmy ta zanieśmy; aleć prawda, wszakci to ona nie bardzo ciężka, i sam doniosę.

Podniósł martwą, wziął na przód i oparł na ramieniu; a głowa jój jak była ku piersiom nachylona, tak i powisła na plecach Andrzeja.

— Co robisz Andrzeju! S. Apoliuary! wrzasnęła Gdziurzalska, nieostróżnie bierzesz jak jaką prostaczkę, tak niewygodnie dla niój! my sami zanieśmy, ty po doktora, po aptekę.

— Może i po aptekarza? odpowiedział furman drwiąc. Nie bój się Jójmość; gdyby jój niewygodnie teraz było toby powiedziała.

Poniosł więc swobodnie, zdaje się jakby najmniejszego nie czuł ciężaru; a za nim wszyscy płacząc ciągnęli się zwolna, mówiąc pacierze, wieczne odpocznienie, i ach jaka szkoda! ach jaka była dobra! ach otożto wesele! i ach Andrzeju, co robisz, nieś pomału!

Wytłumaczono przecie Gdziurzałskiej, że Olimpii ani doktor, ani też apteka nie są potrzebne; a uradzono iżby raczej posłać po Szambelana w sąsiedniej wsi mieszkającego, dla dalszego z umarłą rozporządzenia: sam tedy Andrzej wyjechał.

W tém powszechném zamięszaniu i krzataniu się przy umarłej, zapomniano o żywym jeszcze Ryszardku; około południa dopiero dziewczyna nianka zapytała o małego Gdziurzałskiej.

— Ach święta Brygido! krzyknęła zapytana gdzie dziecię? hultajko! łotrzyco! szukać prędzej, do ogrodu! może gdzie w krzakach położone płacze!

Wybiegli znowu wszyscy do ogrodu, szukali, przewracali, burzyli — nie znaleźli.

Szambelan z żoną przyjechali: a po krótkich zapytaniach i szczerym żalu za umarłą, silnie starać się poczęto o wynalezienie dziecięcia; lecz wszystkie te starania były daremnemi, i zguba czyli przepadnięcie małego Ryszardka stało się dziwną zagadką. Tłumaczono ją

różnie — jak kto chciał, po swojemu. Pan Szambelan z żoną mówili: że chodząc po moście upuściła pewnie będąc osłabioną w wodę; chociaż z téj przyczyny szukano w wodzie: Gdziurzańska mówiła, że albo kto ukradł, albo psy zjedli; zaś chłopci zebrawszy się wieczorem już w karczmie, gadali że to wszystko nieprawda: że nieboszczka lubiąc bardzo małego musiała go żywcem wziąć z sobą prosto do nieba.

I gdy te ostatnie słowa jakiś stary chleborób głośno wymawiał, drzwi się odemknęły, i nowy przybysz przeszkodził dalszej rozmowie.

Do karczmy wszedł tenże sam którego widzieliśmy rano w ogrodzie, tylko przebrany już zupełnie: w długiej staréj kapocie, axamitnéj wytartéj już, konfederackiego kroju kapuzie, zdawał się bydź raczéj odwiecznym z antenatów szlachcicem.

— Co do nieba? zapytał wszedłszy już na środek karczemnój izby; dobry wieczór panóm gospodarzóm; co tu o niebie rozprawiacie?

Chłopi swoim zwyczajem, obstąpili przyby-
szą, i nuż tłumaczyć, gdzie? co? jak było?
jakim sposobem to się stało i wreszcie na czym
się wszystko skończyło.

— O! pewnie! odrzekł nowy opiekun dzie-
cięcia dogadzając chłopskiemu zdaniu, pewnie
musiała go pani wzięść z sobą do nieba! naj-
pewniiej do nieba!

— A co? zapytał później, panowie gospo-
darze, napijmy się gorzalki; umarłym wieczny
pokój!

— A dobrze Wielmożny Panie, odpowie-
dzieli jednogłośnie pozdjmowawszy już czapki
i gładząc siebie po głowie.

— Héj! arendarzu, daj nam wódki! krzy-
knął przybysz otoczony chłopami.

Arendarz przyniósł i wszystkich za rozkazem
szczodrego fundatora poczęstował. Później
Wielmożny Pan zapłacił i wyszedł przeprowa-
dzony przez chłopów. Siadł w prosty woz
ciągniony jednym chudym nędznym koniem, i
powlókł się zwolna wykręcając małym bicz-
kiem.

Chłopi wrócili do karczmy, rozmawiając z sobą i decydując: że to dobry jakiś pan Ekonom być musi, że imby takiego potrzeba; że nakoniec są przeświadczeni w niezawodnym zdaniu, o wzięciu żywcem dziéciecia do nieba, gdyż i pan Ekonom na to się zgodził.

VI.

— A więc panie Podezaszy, między nami rzecz już ułożona; do W Pana! Zawołał Podskarbi Jaskolski wychylając spory srebrny puchar malmazii, i postawił próżny, z brzękiem na stole; poczem otarł siwe, winem zmoczone wąsy; i musnął się żyłastą po czuprynie dłońią.

Podskarbi kończył wieczerzę, z dwoma przyjaciółami: Stanisławem Opolskim Podezaszym koronnym i Zygmuntem Grabianką Podkomorzym Wieluńskim.

— Kiedy już tak podobało się Najwyższemu Bogu, rzekł Podezaszy, niech się dzieje wola Jego przenajświętsza.

— Hej Jakubie! krzyknął Podskarbi, niech tu przyjdzie moja Jadwiga, i pana Heuryka

poproś! — Tak, tak panie Podczaszy, poženimy swoje dzieci; po co tam odkładać na długo? ot jak mówiłem na S. Jan Chrzeciciel wyprawimy im wesele; taj niech się mnożą Bogu na chwałę a krajowi na pożytek.

Później sam Podskarbi napełnił próżne swych przyjaciół puhary, a gdy ci, wychylając słodki napoj ogrzewali stare piersi; weszli: piękna Jadwiga, córka Podskarbiego, i młody Henryk syn Podczaszego.

— Chodź no tu Jadwigo! zawołał Podskarbi. Tego cośmy ułożyli między sobą z panem Podczaszym, mówił gdy się doń zbliżyła, niema potrzeby obwijać przed tobą w bawełnę; jesteś już panna dorosła, i spodziewam się dla tego świadoma, że dziewcze koniecznie za mąż wyjść musi, i wyrzec się imienia domu z którego powstało. Ha! cóż robić? widać tak to już Pan Bóg chciał że nie mam syna, któryby po méj śmierci mógł odziedziczyć i utrzymać, jak należy, imie i honor naszój familii; tak jak ja odziedziczyłem po swoich rodzicach: bo czy potrafiłem podnieść dobremi czyny imie Jaskol-

skich, niech o tém ludzie sądzą; przekonany atoli jestem, że niegodnym czynem jego nie splamił, i w tym względzie żadnego ciężaru nie dźwigam na mojem sumieniu! — Otoż z synem pana Podczaszego, mówił otarłszy łzy co zwilżyły twarz sędziwą zoraną blizunami; wychowaliście się, i zrosliście prawie razem; starszym on jest wprawdzie od ciebie, bo też mąż starszym być powinien!..... My z pociechą uważaliśmy waszą wzajemną do siebie inklinacyą; a dzisiaj gdy tak już Panu Bogu podobalo się, na S. Jan Chrzciciel wyprawim wam wesela!

— Czy słyszysz chłopeze? przemówił Podczaszy do Henryka; co powiedział pan Podskarbi to się ściaga do ciebie. Nigdy ci jeszcze o tém nie mówił, iż zasłużyłeś sobie względy u pana Podskarbiego, i ten ciebie polubił; a widząc twoję do panny Jadwigi przychylnosc; dzisiaj ułożyliśmy się względem waszego wesela, które ma się odprawić na S. Jan Chrzciciel. Póki ja żyję, to wielkich dostatków nie wezmiesz, ale postaram się że na barszcz i kaszę

stanie dla syna Opolskiego i jego żony! Tylko bo coś panienka na cię z ukosa spogląda, rzekł z uśmiechem wpatrując się w Jadwigę; czy tylko ta kresa od cięcia pałaszem którą masz na czole nie razi jój ocząt.

— A! panie Poczeszy, krzywdzisz bo moją Jadwigę! wszakto to cięcie więcej waloru dodaje dla syna WPana. My gdyśmy się żenili, to bez podobnych znaków, nie chciały nas i widzieć dziewczęta, na ślubnym kobiercu; i to nie z jednym ale z kilką powinniśmy byli wystąpić; a im większe były cięcia, tém nas więcej szacowano: a chociaż panie Poczeszy twój chłopak nie z tatarskiej otrzymał to ręki, lecz to wszystko jedno, bo bił się na pałasze z kacierzami, heretykami, przecież to za wiarę swoich przodków, tego czola nastawiał; a tym Gdańszczanom rozjuszonym hartownego trzeba było czola, iżby im dostało. Tak! tak, panie Henryku, podobne blizny na czole, wiele za dawnych czasów przemawiały za nami; byle tylko na czole! bo broń Boże na grzbiecie, o! to ani się pokazuj! bizuny od ojca i do kuchni

jeszcze wyprawia jeść z czeladzią jeśli któren powróciwszy z wyprawy zechciałby się podobnym zprezentować; a do dziewcząt ani porywaj się, — wyśmianym zostaniesz.

— Ale to było panie Podskarbi dawnych czasów! odrzekł Podczaszy, a terazniejszego wychowania dziewczętom to owe te skazy na czołach nie bardzo się podobają.

— Ho! ho! czyż jeszcze uważać byśmy mieli na kaprysy dzieci naszych? a cóż to chłopiec WPana, ułomek?! zdrow, hoży, zdatny do korda, a spodziewać się należy, że z latami zdatny będzie i do rady; zna doskonale łacinę! ho! ho! gdybyć to jeszcze dać wolę tym młodym dziewczętom?..... I spójrzył zukosa na Jadwigę, a zarzucając wyloty stracił srebrny ze stołu talerz.

— Podéjm talerz chłopcze! odezwał się Podczaszy do syna, i podziękuj panu Podskarbiemu iż zawsze na ciebie łaskaw; obyś tylko mógł kiedy na nią jeszcze zasłużyć.

Henryk wypełnił rozkaz ojca a Podskarbi poufale uściskał go za ramie.

— No! czegożes tak zwiesiła głowę? zawołał znowu Podskarbi, jeszczeż nie idziesz do ślubu? Co? Norsztyń marzy ci się? pamiętaj Jadwigo na to com ci przyrzekł; i teraz powtarzam to, jeszcze przy wszystkich, iż jeżeli raz jeszcze z tym Norsztyńnem obaczę cię kiedy, to panienkę do klasztoru zapakuję, a jemu hultajowi sto bizunów każę wyliczyć! O! już płaczesz? rzekł wolniejszym tonem, wiesz Jadwigo że nie lubię żadnych beków! przestań się dziecinić: idź do swoich komnat, i bądź gotową spełnić z radością dla siebie wolę swojego rodzica. O! o! dodał z uśmiechem, znam ja was, znam! zawsze to tak się dzieje że dzieweże musi koniecznie płakać, kiedy w obec kawalera, oświadcysz jój iż trzeba pójść za mąż; a jeżeli z nim sam na sam, to téj lzy strasznie daleko potrzeba szukać! o bardzo daleko! No odéjdz, rzekł po chwili, i pamiętaj com ci powiedział.

Jadwiga ucałowała rękę ojca, Staroście i Podczaszemu skłoniła się, i wolnym odeszła krokiem.

— A WPanże zimnym na to patrzysz okiem? odezwał się do syna Podezaszy, to dawniej kiedy to jeszcze nie tak wam było wolno, więc lubieś przy paniencie długie przesiadywać godziny, a teraz..... A co chociaż nie umiesz po francuzku, boś nie był w Paryżu, tym lepiej; lecz możesz po polsku jój powiedzieć że ją kochasz i kochać będziesz; nie ma czego się martwić, wszak spodziewam się przed dwóma laty często jój to mawiać musiałeś; ruszaj WPan!

— Oj to prawda, iż to jest bardzo dobrém, kto swojej tylko ziemi wykarmił się powietrzem i swoich przodków odziedziczył cnotę; rzekł Podkomorzy gdy wyszedł Henryk gorzko westchnawszy; i proszę panów! jak to złe bardzo się już wkorzeniło na naszej ziemi: siaki taki szlachcie wysyła tam gdzieś do Francyi swoje dzieci po naukę, jakby to u nas w Polsce brzeziny już zabrakło; a dla tego i nikt nie coraz bardziej i sława Polaków, gdy widocznie staropolska cnota ginie, a natomiast przywiezione swobodnie zamieszkują zniewieściałych ludów obyczaje.

— Nie idę za tém żeby wysyłać koniecznie za granicę nasze dzieci; rzekł Podskarbi zmarszczywszy brwi, wszakże nie wysyła się ich po to, aby później srom do swego przywozily kraju! i przecież w mojej córki obyczajach nie widzę nic skażonego, jeno tylko to iż ten hultaj Norsztyn gdzieś tam w Paryżu zabrał z nią znajomość; ale zabroniłem jęj surowie widywać tego świszczypałę, i ona musi o nim zapomnieć. Oj! ja bardzo byłem przeciwny temu wojażowi, i temu wszystkiemu winna jest nieboszczka jęj matka, a trudnoż się było jęj oprzeć.

— Tak! tak! wielka to zaraza nasz kraj opanowała! zawołał westchnąwszy Podczaszy, że co tylko swego to tym i pogardzamy. Ot, patrzcie panowie na tego Norsztyna, wszakże to nieraz pamiętam widywało się go u nieboszczyka Starosty Tarły! jaki to był młodzieniec do rzeczy? no! trzeba mu było na nieszczęście wyjechać gdzieś w obce kraje, i szukać tęg nauki, o któręj jego ojciec i nie słyszał; to też i nawiozł jęj tyle, ile może nawet i nie żądał.

Ale, ale! bywasz panie Podkomorzy częściej na Podolu, czy też nie słyszałeś co o tém dziecięciu które skradzioném zostało.

— Różni różnie bają: odrzekł Podkomorzy, jednak wszyscy prawie składają winę na Norsztyna.

— I najpewniej że to sprawka tego hultaja, wymruczał Podczaszy. Czyś go też znał kiedy panie Podkomorzy.

— Aż nadto znałem! jednak wtenczas kiedy był zupełnie innym młodzieńcem! Właśnie to ja i namówiłem nieboszczyka Stolnika Humieckiego iżby go wysłał na ukształcenie się lepsze do Wilna, lecz któż wówczas mógł się spodziewać, iż się stanie inaczej.

— A to wszystko Paryż tego narobił! podchwycił Podczaszy. Gniewaj się lub nie panie Podkomorzy, bo nie mówię to do przyszłej mojej synowej a twojej córki panny Jadwigi, ale to jest złe, i wielkie! te jeżdżenie czyli wysyłanie do cudzych krajów młodzieży! pytam na co? i po co? czy to my nie umiemy władać pałazem, iżbysmy mogli to w sukcesyi synowi

przekazać? Alboż nasze żony były dla nas złemi? czyż one nie mogą nawzajem nauczyć swoje córki tego co przyniosły z sobą w posagu! Przypuśćmy że do pałacza potrzebny jest i zdrowy rozsądek; wszakże to i z nas mospanie jeszcze nie półgłówki, a każdy potrafił nabyć téj umiejętności na swojej rodzinnej ziemi; to też i konkurencja była w naukach! i szczęście płużyło! a dzisiaj!.....

— A czyż może bydź szczęście dzisiaj w tym kraju, zawołał Podkomorzy, w którym tacy młokosy, wisielcy! ci! ci! wychowańcy Paryzey górę biorą nad umysłami, którym prawdziwa staropolska przewodniczy cnota? Bo to zaraz każdy z tych ichmościów robi sobie partye, i jedni chcą Koudeuszów, drudzy Augianów, trzeci Kotych: z czego niezgoda, niesnaski, zaburzenia; a jedności i niespodziewać się! a skądże szczęście zawita do téj krainy w której tak niedołężny lud się rozpostarł; co to tylko wrzeszczy na obradach, a gdy spójrzysz na którego z ukosa i chwycisz się za rękęję od szabli, to gdybyć to nie mieli za sobą turmy

płatnych popleczników, więcby jak Turcy z pod Wiednia wszysey poszli w rozsypkę z miejsc obradnych! Na co to nam na królów owych karłów, niedołęgów niemieckich, francuzkich? dajcie go nam ze krwi słowiańskiej! jakim był Jan Sobieski, co to na dłoni swój rosnącego mógł utrzymać chłopca. Takiego nam dawaj króla! A gdzież? czy to za granicą on wychował się? on swojej ojczyzny powietrzem wykarmił swoje piersi; był wprawdzie we Francyi, lecz nie przybrał żadnych złych narowów; a tylko starał się korzystać z przykładów ludzi cnotliwych i wielkich: za to żaden wrog nie mógł mu śmiałym okiem spojrzeć w oblicze sarmackie; bo gdy król jegomość zmierzył go tylko oczyma a obrócił się do szlachty, i krzyknął za mną bracia! o! to szlachta wzięwszy w pomoc Boga, jak na hulankę z szablicą uderzyła! każdy dziesięciu mierzył w swoim oku! Wszakżec pamiętam nie raz, to się przy jego boku natarło na karki wrogów.

— Oh! pamiętam! pamiętam! przypomniałeś mi złote czasy panie Starosto; obym był fał-

szywym prorokiem; ale zdaje mi się iż już nigdy Polska podobnych nie doczeka się! Czy przypominasz sobie panie Podezaszy, zdaje mi się szóstego października, kiedy to w Węgrzech we sto koni król jegomość uderzył na liczne Turków hufce, a którym przewodził jak tam!..... jak ten, ten Basza nazywał się? zapomniałem bo! Basza bu..... bu.....

— A! to zdrajca Budzyński Basza, Kara-Mahmet, siódmego października: podchwycił Podezaszy.

— Tak, tak! siódmego października; powtórzył Podkomorzy, ale za cóż go mianujesz zdrajcą? chociaż to bisurman, lecz bił się jak należy w otwartém polu na gołe szablce, i bez żadnej zdrady, a bił się dzielnie! Wszakżeć to nie żart było tak śmiało na nas natarł! Bo co to znaczy liczba wojska, czy to się raz wydarzało? napotykać jeszcze z liczniejszymi! Lecz bywało gdzie tylko mignęło czaple pióro u czapki króla jegomości albo potężny wąs jego, a wróg je spostrzegł, to to wszystko w rozsypkę leciało na złamanie karku! a on dotrzymał placu, i ustał przeciw

królowi jegomości! co większa jeszcze i naszych należycie przetrzepał! lecz to nie zdrada czynił.

— A sprawiedliwie mówi Podkomorzy! odezwał się Podskarbi, nie była to zdrada! to król jegomość przez skwapliwość i zbyteczne męstwo temu winien. Dobrze to jest że się nie uląkł nierównie większego wroga: a kupy owych łotrzyków płoszył! byłemże przy jego boku i widziałem jak pierwszy z dobytym na nich natarł pałaszem. Potężna rąbanina, a szczęśliwa rozpacz dała królowi z ludem swoim przez nieprzyjacioły przejście: lecz król jegomość nie szukał ucieczki ale zwycięstwa; cofnął się nazad, i tymże zapędem jeszcze się drugi raz przez owe tłumy przedarł; przeląkł się wprawdzie później gdy tylko ujrzał przy sobie mnie i ośmnastu orężników wśród trzody wrogów, w tym jeszcze i konia pod nim zabito a nim mu drugiego podano, długo się pieszo wręcz ścinać musiał nie bez srogićj klęski przeciwników; ledwo nakoniec życie w kilku unieśliśmy.

— Ależ dalże on im za to nazajutrz pod Parkanami! zawołał Podkomorzy, gdy za osłabieniem

murów rozsypał na około gęsto, celnie strzelającą szlachtę; a później sam na czele co najwaleczniejszych skoczył najpierwszy, i ani pierwój ustąpił, aż wywaliwszy część bramy wpadł do otwartego miasta. Oh! rzuciłoż się to za królem rycerstwo siekąc, bez braku, pałaszami kto się tylko nawinał: więc gdy wkrótce inni żołnierze potłukłszy ze trzech stron mury z nim się złączyli, przelakł się wróg zwykłej zajuszonemu a łakomemu zwycięzcy zapalczywości; jakoż wnet i o pardon prosili; a wzięty Basza Ostryhom samemu tylko królowi jegomości złożył swój bułat.

— O! dawneć to czasy! wykrzyknął Podskarbi zarzucając na barki wyloty; ile razy te czasy przywiodę sobie na pamięć, to zdaje mi się że młodziej i radbym pan Bóg wie ile dni z rzędu o nich rozprawiać! Alboż to nie świetne zwycięstwo, kiedy to król jegomość jeszcze będąc Hetmanem odniósł pod Chocimem w dzień S. Marcina nazajutrz po śmierci króla Michała; zwycięstwo prawie niepraktykowane; kiedy to przeprowadził się przez Dniestr, i napadł na daleko

liczniwszy oboz hisurmanów, bo z ośmiudzięsięciu tysięcy składający się; a tylko po dwugodzinnój walce wśród ichże obozu, odprawowaliśmy już modły uroczyste na dzięki Bogu Najwyższemu.

— A! a! podchwycił klasnąwszy w dłonie zachodząc się od śmiechu Podezaszy; to wówczas kiedy to Seraskier Hussejn Basza z życiem ledwo umknął! O! ileż to szlachta uśmieła się wtenczas: bo to kiedy go już dobrze i nagle nasi przepiekli, pamiętam puścił się w pław, jakby dla ochłody przez Dniestr; a w tém z podeń koń wysliznął się, co go przymusiło nim do drugiego dostał się brzegu, bez chęci Dniestrowój opić się wody.

— O! dawne to czasy! przerwał skwapliwie Podskarbi napelniając puławy próżne; i już się one nie wróca, bo król Jan nie wstanie z grobu! a i my nie długo zabierzemy się już do téjże krainy na mieszkanie! Ale nim to nastąpi, wypijem jeszcze za zdrowie i pomysłność nasze i dzieci naszych.

Stare Polonezy nie długo ociągali się ze spełnieniem propozycji Podskarbiego; po czém wkrótce pożegnali się nawzajem, i opuścili gościnnego gospodarza.

— Przecież panie Podkomorzy nie wyjeździesz tak prędko z Wilna; a dla tego będę miał jeszcze przyjemność z widzenia się naszego: rzekł do odchodzącego gospodarz, który już nie słyszał tego zaproszenia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A5977

I

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174400